



KRZYSZTOF BONK

A VENEDOR

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Avenedor

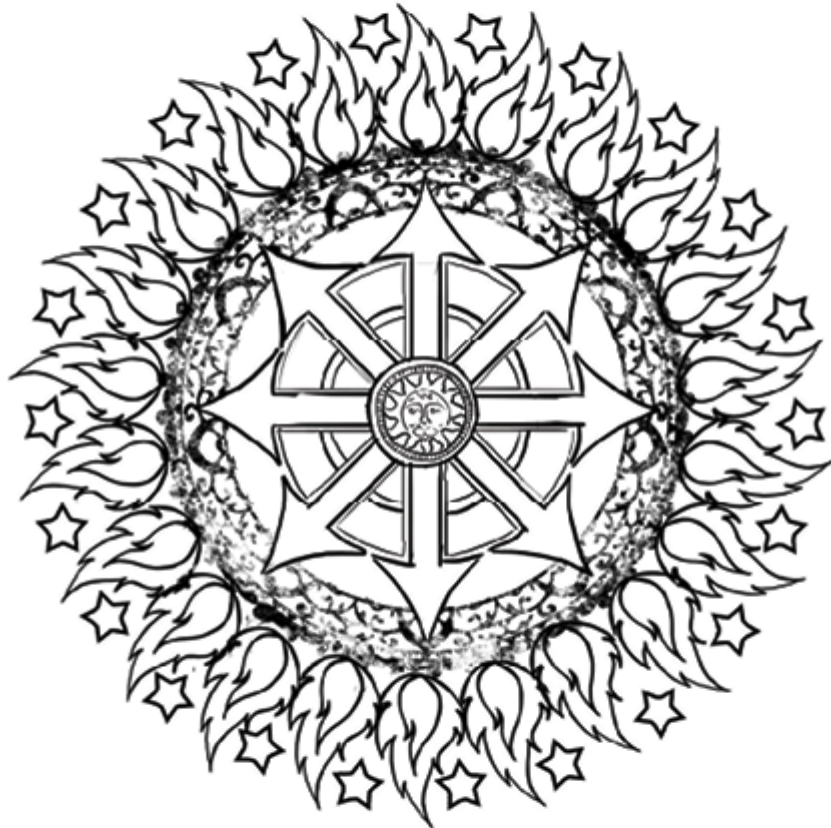
Cykl Pendorum VII

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-960-9
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. WYBRANIEC

Tak więc się dokonało. Ziszcza się rzecz niepojęta, ale jest już za późno, aby odwrócić nieprzewidziany bieg wypadków. Oto porywa mnie zupełnie nowy, dziejowy prąd. I tak, wyrzekam się siebie, swych osobistych pragnień, a nawet miłości. Wszystko to składam na świętym ołtarzu mej boskiej matki i podpalam. Otóż ja, Avezan, na przekór wszystkiemu zjednoczę kontynent, kładąc po drodze u swych stóp wszystkich wrogów, w tym także zdradzieckich Bogów Pendorum. A uczynię to, mając pod swym władaniem samych Allearów, najdoskonalszych w dziejach wojowników. Będą mi wiernie służyć, zawsze gotowi na me rozkazy, albowiem oto staję się ich władcą, najwyższym wodzem, prawdziwym wybranym połączonym węzłem małżeństwa z Larien, przywódczynią zjednoczonych, allearskich klanów. I nie wybaczaj mi Nail, bo nie zasługuję na taką łaskę, ale musiałem to uczynić ze względu na to, kim z urodzenia jestem.

*

– Otóż tak, Ambum... – oznajmiam z ciężkością w głosie do wojownika. Wspólnie zasiadamy w cieniu liściastych drzew nad bystro płynącym strumieniem w okolicy opuszczonego szałas. – Przyznaję... przyznaję rację dawnym kompanom mej matki, w tym także Viri.

– Viria!

– Właśnie... Ona, Adora, Gabu, Ravel, Exon czy Kalilla... Wszyscy oni byli swego czasu nikim, byli niewolnikami. Lecz podnieśli się i każdy z nich osiągnął naprawdę wiele. Jednak jak to uczynili? Bynajmniej nie służąc wiernie i prawo mej matce. Mianowicie osiągnęli oni sukces po jej śmierci i samodzielnie dzięki zdecydowaniu, bezwzględności czy zwykłym oszustwom. Innymi słowy, cechował ich nieprzejednany pragmatyzm. A ja, Avezan...?

– Avezan!

– Dokładnie... Jeżeli osobiście pragnę osiągnąć cokolwiek wielkiego w moim życiu, to nie mogę uchylać się przed ryzykownymi czynami. Dlatego nie zaprzeczę, tak, dla dobra Pendorum dałem się przekonać, abym splamił się ciężkim kłamstwem. Oto podałem się za syna Anrei i Zana, co jest skąd inąd prawdą. Ale przedstawiłem się nie jako ich najmłodszy syn, którym w rzeczywistości jestem, a najstarszy... odwieczny wybraniec. To była jedyna droga, aby stanąć na czele Allearów, a wskazała mi ją sama Larien...

– Pindzałka!

– Tak i to niczego sobie... Choć po stokroć wolałbym istotę, której już nigdy nie będę w stanie spojrzeć w oczy, moją Nail...

– Nail!

– Otóż to... – Po tym wyznaniu win, pragnień, jak i niecnych występków klepię przyjacielsko syna Gabu po monstualnych plecach. To bowiem ważne, aby mieć kompana, na którym można nieustrudzenie polegać i który mnie naprawdę rozumie.

Myślę tak, a następnie wstaję i kieruję się z powrotem do allearskiego obozu. Świadomie nadkładam drogi, aby ominąć szerokim łukiem teren, gdzie swoje siedziby mają Nail oraz Viria.

Na miejscu wkraczam do najokazalszego zielonego namiotu, do niedawna należącego do Larien, a teraz będącego i moim. Wewnątrz spotykam wspomnianą kobietę, a obecnie i moją małżonkę. Siedzi ona ze skrzyżowanymi nogami na zwierzęcej skórze i uważnie studiuje mapę Pendorum – podarek od Hamri.

Osobiście dłużej zatrzymuję się tuż za progiem i jakby onieśmielony przyglądam się żonie. Jest bardzo wysoka, prawie mojego wzrostu. Dość szczupła, ale ma silną, wytrenowaną sylwetkę. Jej włosy są bardzo jasne, a w świetle słońca aż się złocą. Twarz ma dość surową, ale piękną w tym bardzo szlachetną z wyglądu. Do tego oszczędnie okazuje emocje, niewiele się uśmiechając.

Trochę przypomina mi Atrix, ale czy to ważne? Szybko dochodzę do wniosku, że nie, wcale. Przeszłość bowiem zostawiłem już za sobą, odciąłem ją, jak spróchniałe konary w miłosnym drzewie. Teraz natomiast, w terażniejszości, zobaczę, co zrodzą obecne, miłosne kwiatostany.

– Larien... – odzywam się łagodnie, aby zakomunikować swą bytność w pobliżu kobiety. Ona przyzywa mnie energicznym ruchem ręki. Kiedy koło niej siadam, wskazuje mi na fragment mapy i z pasją tłumaczy:

– Avenedor niebawem wyruszy na czele Jeźdźców Majanu na królestwo Saladior, to pewne i niewątpliwie będzie podążał tym traktem. To z kolei jest idealne miejsce na zasadzkę na jego pomioty Otchłani. Oczywiście, jeżeli twoja misja u króla skończy się naszym sojuszem. I być może wspólnie nie wygramy bitwy z Avenedorem, ale przynajmniej osłabimy go do tego stopnia, że nie zdoła on zająć całego królestwa.

– Cieszę mnie, że jako nieliczna z Allearów rozumiesz doniosłość i wagę konieczności walki u boku władztw Pendorum z gniewnymi Bogami – mówię, choć dziwiąc się samemu sobie, wypowiadam swe słowa z pewną obojętnością. Na co Larien przeszywa mnie na wskroś spojrzeniem swych błękitnych oczu i ostro oświadcza:

– Na przestrzeni tysięcy lat mój lud wiele wycierpiał od obcych najeźdźców, którzy mienią się na ten czas władcami Pendorum. Ale to nie kto inny, jak właśnie gniewni Bogowie ich tu sprowadzili zza odległych mórz i oceanów. Teraz z kolei dzieci Anrei i Abezala przybywają do serca krainy, aby niszczyć i zabijać bez opamiętania. A jak znam ich obecną naturę, a znam ją dobrze, to nie poprzestaną oni siać pożogi jedynie we władztwach Pendorum, tylko kiedyś przybędą i tutaj. Dlatego musimy powstrzymać ich jak najszybciej i nie brzydzić się tym, że uczynimy to ramię w ramię z naszymi pomniejszych wrogami.

– Rozumiem i podziwiam twoją roztropność oraz pragmatyzm. Tutaj nasze myśli, działania i plany są zbieżne. Dlatego...

– Współdziałamy – kończy dobitnie Larien. – Czynimy wspólnie coś dla dobra nas wszystkich, więc racja jest po naszej stronie.

– Zgadza się...

– Zatem, co jeszcze tutaj robisz?! – wybucha nagle kobieta. Spoglądam na nią pytająco, marszcząc brwi, a ona kontynuuje: – Czy nie powinieneś być już w drodze do władcy królestwa Saladior, Rewarda? Wszak sojusz się sam nie zawiąże!

– O to ci chodzi... – oświadczam spokojnie. – Wiedz, że we wspomnianą misję wysłałem właśnie wielką mistrzynię Zakonu Łuki i

Strzał Srebrzystej Łani, Hamri.

– Czemu nie pojechałeś sam? – rzuca z wyrzutem Larien.

– Pomny mych zdolności dyplomatycznych, czyli tego, co wyszło z moich negocjacji w księstwie Razzinal, najpierw pragnę wybadać grunt w królestwie – mówię cały czas w sposób opanowany i delikatnie odgarniam złoty kosmyk włosów z lica rozmówczynie. Lecz ona wręcz wzdryga się na mój dotyk i odskakuje do tyłu. – Wszystko w porządku...? – zapytuje zaskoczony tak gwałtowną reakcją na moją niewinną pieśczołę. Do tego skierowaną do własnej małżonki.

– Tak, jak najbardziej, w porządku... – posykuje kobieta i niemal ze wstrętem wyciera ręką twarz po moim dotyku. Ja natomiast, nieco skonsternowany, oświadczam:

– Wybacz, jeżeli mój ruch odebrałaś jako nachalność z mej strony... Jednak podczas naszej pierwszej rozmowy sama wspominałaś, że aby Allearzy trwale zaakceptowali nasz związek, musi zrodzić się z niego nasz potomek. Zatem...?

– Tak, pamiętam o tym, mój mężu... – rzuca kąśliwie Larien, ostatnie słowo wypowiadając niemal z pogardą. A zaraz dodaje: – Wynikiem naszego pierwszego spotkania jest twoja dostateczna, mam nadzieję, wiedza o zasadach panujących wśród Allearów. Wiesz wobec tego, że mimo, iż zjednoczyłam allearskie klany, to mi, jako kobiecie, nigdy nie dane byłoby tutaj do końca przewodzić. Zawsze musiałabym się liczyć ze zdaniem zachowawczej starszyny. Ponieważ od tysiącleci to jedynie męski wybraniec Allearów, syn Anrei i Zana, może zdobyć nad naszym ludem pełnię władzy, taka jest tradycja i płynące z niej prawo. Dlatego ty i ja musieliśmy wspólnie uciec się do fortelu. Zaś mogliśmy to uczynić przede wszystkim z tego powodu, że masz boskość w oczach. Starszyna to widzi, że jesteś synem Zana oraz Anrei. I dopóki nie pozna całej prawdy, oby nigdy się to nie stało, dopóty będziemy mogli sprawnie rządzić dla dobra całego Pendorum.

– Wszak... ciągle musimy się podporządkowywać tradycji... – zauważam.

– Tak, to jedno będzie nas zawsze krępować, to cena, jaką musimy zapłacić i... – Larien zawiesza głos, po czym cedząc przez zęby, kończy: –

I zapłacę wymaganą cenę... – Dotyka się ręką w policzek, gdzie wcześniej raczyłem ją musnąć. – Zapłacę i poświęcę się... Słowem dziś w nocy będę twoja i... spełnię swoją małżeńską powinność... – Naraz kobieta robi minę, zupełnie jakby zbierało się jej na wymioty. – Przepraszam – mówi, chwytając się za brzuch i szybko wychodzi na zewnątrz.

W odpowiedzi wzdycham tylko z prawdziwym zrezygowaniem na myśl o naszym miesiącu miodowym oraz przede wszystkim rychłym skonsumowaniu związku. Ażeby się trochę pocieszyć i rozluźnić zarazem, idę w kąt namiotu, gdzie w drewnianej skrzyni leżą w słomie pełne butelki wina. I domyślam się, że w obecnych okolicznościach coraz częściej będzie mi przychodziło tu zaglądać. Czyli szukać ukojenia w bordowym trunku, a nie miłosnych objęciach oziębłej kochanki. Cóż powiedzieć, nikt chyba nigdy nie twierdził, że bycie władcą to droga przez życie usłana jedynie pachnącymi różami.

Resztę jasnego dnia, którego pozostaje już niewiele spędzam na rozmowach z Allearami. W końcu jako allearski władca pragnę poznać mój lud, wydaje mi się to ze wszech miar naturalne. Jednak kontakt z tutejszymi mieszkańcami napotyka na specyficzną barierę, do której nie jestem przyzwyczajony. Zamiast swobodnej wymiany myśli, co raz doświadczam dystansu i czołobitności w moją stronę. W me uszy nieustannie wlewają się kwieciste pozdrowienia, oddające cześć wielkiemu wybrańcowi Allearów, którym wszak wcale nie jestem. Słyszę za to, iż jam jedynym obrońcą i wybawieniem, kimś, kto w żaden sposób nie może jawić się zwykłym człowiekiem. Być może tak w rzeczywistości jest, myślę sobie. Ale czy to przekreśla szansę na to, aby nawiązać ze mną naturalny tryb rozmowy? Wygląda na to, iż właśnie tak.

Ta swoista sztuczność, choć może i niewymuszona, jednak szybko mnie nuży. Dlatego nawet z pewną ulgą zjawiam się po zmroku w moim obecnym namiocie. Wewnątrz stoją dwa żelazne kosze z płonącymi w nich drwami rozświetlające i ogrzewające nieco przestrzeń. W środku niej, na zwierzęcej skórze, zgodnie z zapowiedzią, spoczywa pod ciemnym kocem Larien.

Kobieta nie rusza się i ma zamknięte oczy. Można by pomyśleć, że śpi, albo nawet nie żyje... gdyby nie to, że po zbliżeniu się do niej czyni krzywy wyraz twarzy, zupełnie jakby doszedł ją nieprzyjemny swąd lub

nawiedziły koszmarne myśli. Cóż powiedzieć, na pewno nie jest to zachęcająca gra wstępna ze strony mej małżonki. Lecz jak zauważyła sama Larien, wspólnie podjęliśmy się gry, której reguł musimy przestrzegać. Allearskiej tradycji musi stać się zadość, czy nam się to podoba, czy nie.

Dlatego rozbieram się do naga, powoli zdejmuję zasłaniający kobietę koc i tym samym odkrywam również jej nagość. Ukazuje mi się doskonale zrównoważone ciało, którego widok wręcz zapiera dech. I to sprawia, że po raz pierwszy rodzi się we mnie zarzewie pożądania, które wraz z wrodzonym wzrokiem po piersiach, łonie i udach kobiety, systematycznie narasta. Aż jestem już gotowy spełnić swoją powinność.

Kładę się ostrożnie na Larien, która ciągle nie otwiera oczu, a jedynie potęguje odpychający wyraz na swej pięknej, dostojnej twarzy. A skoro tak, to więcej nie spoglądam na jej wykręcane odrazą lico, tylko kładę głowę ponad kobiecym ramieniem, obejmuję Allearkę mocniej i staram się zainicjować cielesną miłość.

Niebawem czuję, że jestem już na drobnej drodze. Gdy raptem kobieta gwałtownie bije mnie w plecy pięściami. W pierwszym momencie zastanawiam się, czy nie jest objaw nagle rozbudzonego, dzikiego pożądania. Lecz gdy moją twarz dosięgają ostre paznokcie, raniąc mnie do krwi, zdaję sobie sprawę, że jako kochanek niewątpliwie czynię zawód kobiecie. Dlatego zsuwam się z niej, celem uniknięcia kolejnych razów. Kucam i przyglądając się z rezerwą Larien, gładzę się po pokancerowanej twarzy. W tym czasie kobieta zajmuje pozycję analogiczną do mojej. Przyjmuje ona gardę, jakby gotując się do walki i w iście bojowym duchu z siebie wyrzuca:

- Nie śmiej mnie więcej dotykać, bydlaku!
- Ale... – jęczę na dobre zafrapowany.
- Milcz! – krzyczy z kolei Larien. – Nawet nie wiesz, z kim masz tu do czynienia!
- Z moją żoną, która podobno ma dać mi dziecko... – stwierdzam z nad wyraz kwaśnym uśmiechem.
- Otóż to się nie może wydarzyć! Nie w moim przypadku!

– Skąd ta nagła zmiana...? – pytam coraz bardziej zrezygnowany. Na co Larien unosi dumnie pierś z idealnym biustem i ostentacyjnie wypala:

– To ja, ja sama jestem odwiecznym wybrańcem Allearów, a twoim starszym bratem, rozumiesz?! Właśnie ja!

– Ale... eee... – Kompletnie mnie zatyka. Larien wręcz przeciwnie, wpada ona w prawdziwy słowotok skierowany prosto we mnie niczym niszczycielski oręż:

– Jestem wybrańcem Allearów, tak! Lecz jakimś niezrozumiałym przekleństwem narodziłam się w tym żywocie w ciele kobiety! I... I... nienawidzę tego! Nie akceptuję, rozumiesz?! Te szerokie biodra, obfite piersi, ta upokarzająca, dojmująca pustka pomiędzy nogami... To nie do zaakceptowania, to nie ja! Nie ja! – Rozkłada dramatycznie ramiona.

– Aha... zatem...? – jęczę z miną zbitego psa.

– Zrobimy to inaczej – odpowiada raptem całkiem spokojnie Larien.

– Jak, od tyłu...? – zapytuję niewinnie, spoglądając na zarys krągłych, kobiecych pośladków. W odpowiedzi moją twarz dosięga siarczyste uderzenie dłonią, a mych uszu wściekle wypowiedane, kobiece słowa:

– Nie kij! Nigdy nie będziesz mnie miał, jako kobiety. Ani ty, ani nikt inny, bo nie czuję się kobietą i nie dam się... – Słowa więzną Larien w gardle.

– A co z tradycją...? – pytam z rezerwą.

– Stanie się jej zadość – pada dumna odpowiedź. – Najważniejsze jest Pendorum, to dla niego istnieję i wszystko mu podporządkuję.

– Czyli... dalej będziemy knuć, tak...? – zgaduję.

– A i owszem, nie pozostawiono nam bowiem wyboru! – rzuca dziarsko Larien. – Dlatego jutro zorganizuję wszystko, co trzeba, aby począc... nasze dziecko... A teraz idź się przewietrzyć i nie wracaj przed świtem. Nie przeszkadzaj mi i przestań mnie tu nachodzić! Mnie, jedyne go wybrańca Allearów!

Czarną noc spędzam w opuszczonym szałasie nad strumieniem, które to schronienie zauważam wcześniej podczas odbywania w okolicy dysputy z synem Gabu. Natomiast rzeźkim rankiem myję się dokładnie w płynącej, lodowatej wodzie i powracam do obozowiska.

Na miejscu oświadczam krzątającym się tubylcom, że medytowałem w samotności po upojnej nocy spędzonej z Larien. Tymi kłamstwami zyskuję jeszcze większy szacunek i raczony jestem pieczoną strawą, a także gotowanymi warzywami oraz przetworami z leśnych owoców. Nasycony udaję się, nie bez obaw, do namiotu Larien, który aż do wczoraj w nocy brałem również za swój.

W środku wita mnie widok mej świeżo upieczonej, zniecierpliwionej żony ubranej w białą suknię, która to kobieta rzuca mi lekceważące spojrzenie. Następnie wskazuje ona jakąś postać stojącą na czworakach tyłem do nas w rogu namiotu i wtedy padają znamienne słowa Larien:

– Będę udawała ciążę, systematycznie wypychając sobie ubranie na łonie odpowiednim materiałem. I będę to czyniła do czasu, aż nastąpi rozwiązanie tej oto dziewczyny, która powije twe dziecko.

– Ty tak poważnie...? – Spoglądam skołowany na dziewczynę, to na małżonkę.

– Jak najbardziej, poważnie – oznajmia ta ostatnia. – Przyszły allearski dziedzic musi mieć w sobie krew potomka Anrei inaczej starszyzna się zorientuje.

– Czyli nie mam wyboru... – stwierdzam zrezygnowany.

– Żadnego – pada oschła odpowiedź. A skoro tak, to idę do wskazanej mi dziewczyny. Patrę na nią dłuższy czas z krzywym uśmiechem, aż w końcu mówię do przyglądającej mi się Larien:

– Mogłabyś się odwrócić...? To trochę... krępujące, kiedy tak patrzysz.

– Oczywiście, przepraszam – rzuca lodowato i kieruje swój wzrok za poły namiotu. A zaraz zapytuje: – Skończyłeś już?

– Jeszcze nie zacząłem...

– Więc nie daj się prosić. Roksin jest moją zaufaną służką i sama się poświęca, uszanuj to.

– Dobrze, wybrańcu Allearów... – drwię z lekka i zsuwam sobie do kolan spodnie. Następnie kucam za dziewczęcymi pośladkami i odkrywam ich nagość, podnosząc koc. Jednak tym razem jest mi tak dziwnie, że za nic nie mogę wzniecić w sobie nawet iskry pożądania. Zrezygnowany

spoglądam na Larien i zauważam, że z ukosa ciągle mi się przygląda. A widząc mą niemoc, jadownicę posykuje:

– Dotknij ją, Roksin. Niestety ja za ciebie tego, co trzeba, nie zrobię, choć chciałabym, możesz mi wierzyć.

– Wierzę... – mruczę i od niechcienia dotykam kobiecych krągłości. Gładzę je, aż w końcu jestem w stanie rozpocząć fizyczne zbliżenie. Lecz po kilku nieśmiałych próbach, niepewnie oświadczam: – Coś jest nie tak... Nie daję rady...

– Roksin jest dziewicą, a kobiece miejsca Allearek są wyjątkowo... ciasne – pada wyjaśnienie. – Po prostu musisz użyć męskiej siły... Chyba jesteś mężczyzną?!

– Jestem – powarkuję i tym razem z nieco urażoną, męską dumą, czynię nad wyraz silny ruch biodrami. Od tego momentu doznaję do tego stopnia intensywnego odczucia cielesnej miłości, że dosłownie po chwili jest już po wszystkim.

Pełen pomieszania, gdzie rozkosz miesza mi się z ulgą oraz upokorzeniem, wstaję i podciągam spodnie, po czym bez słowa kieruję się do wyjścia z namiotu. W progu łapie mnie za ramię Larien i o dziwo ciepło do mnie szepcze:

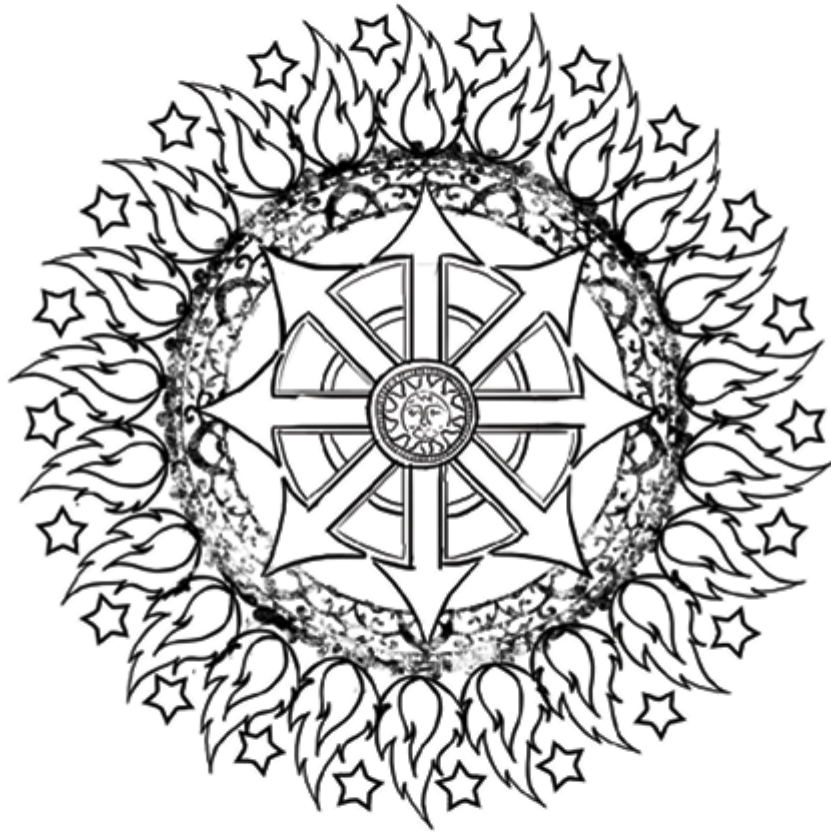
– Dziękuję ci w imieniu mego ludu i pamiętaj, że wszystko to robimy dla dobra Pendorum. Ale po drodze nie możemy zapominać, że Pendorum to przede wszystkim jego mieszkańcy. Dlatego, proszę, okazuj należny szacunek Roksin, za jej poświęcenie. Mów jej miłe rzeczy, dawaj podarki, a nie tylko poklepuj po tyłku jak klacz do rozplodu! – kończy ostro kobieta.

– Dobrze – wyrażam zgodę i próbuję wyjść z namiotu. Ale Larien mnie przytrzymuje i dodaje:

– Jest coś jeszcze.

– Tak?

– Roksin jest niemową. Powinieneś to wiedzieć.



II. POLOWANIE

Roksin jest uroczą, allearską dziewczyną, która jest piękna i wydaje się niewinna niczym dopiero co zakwitający, delikatny kwiat. I chociaż łączy nas doprawdy nietypowa znajomość, to zawsze napotykam skromny uśmiech oraz zrozumienie na jej drobnej twarzy. Sprawia to, iż kolejne nasze zbliżenia w dotychczasowej formie pod czujną pieczę Larien, są dla mnie coraz łatwiejsze do zaakceptowania. Nie powiem też, dla mężczyzny, jak ja, który na dobre posmakował już fizycznej miłości, jest to również jakiś rodzaj zaspokojenia zsyłającego spokój ducha i swoiste odprężenie dla ciała.

Ponadto zgodnie ze słusznymi wskazaniem mej małżonki, mieniającej się prawdziwym wybrańcem Allearów i, o zgrozo, moim bratem, nie szczędzę Roksin czułych słów czy upominków. Tym samym widzę, jak kierowane do niej miłe słowa jeszcze poszerzają jej uroczy uśmiech. Natomiast kwiaty, pierścionki i inne drobne ozdoby traktuje ona jako wspaniałe dary i przyjmuje z prawdziwym pietyzmem.

Dzięki nawiązaniu takich relacji coraz łatwiej znoszę swoją nową rolę, mianowicie fałszywego wybrańca Allearów, u boku żony, która wyrzeka się zarówno bycia kobietą, jak i przeznaczonej jej roli macierzyństwa. Z kolei czas w oczekiwaniu na powrót Hamri pomiędzy próbami spółdzenia potomka, a wizytowaniem obozu Allearów, chętnie spędzam na polowaniach w otaczającej nas puszczy.

Na kolejną taką wyprawę wyruszam właśnie teraz skoro świt. Uroczą Roksin posyła mi ukradkiem skromny, ze wszech miar szczerzy uśmiech. Natomiast do kompletu Larien zasadza potężnego klapsa w zad dosiadanego przeze mnie karego rumaka. Tak oto wyrywam dziarsko do przodu, a tuż za mną podąża niezłomnie Ambum, mój obecnie najwierniejszy towarzysz. Resztę grupy uzupełnia czterech allearskich wojowników w pełnym rynsztunku.

Dzień jest chłodny i tradycyjnie rzeński jak to w tutejszych, gęstych kniejach. Słońce nieśmiało przebija się przez szare, kłębiaste chmury na niebie, a my zmierzamy wąską dróżką na wschód. Tradycyjnie wyglądamy na ziemistym trakcie śladów większej zwierzyny, jeleni czy łosi. A gdy tylko takowe namierzmy, wówczas zacznie się prawdziwa zabawa i podążymy tropem przyszłego posiłku.

Ja sam, uzbrojony jedynie w broń białą, z reguły z góry skazany jestem jedynie na podziwianie allearskich umiejętności strzelniczych przyczyniających się do wieńczenia polowań sukcesem. Lecz bynajmniej mi to specjalnie nie przeszkadza, fakt, że na polowaniach, i nie tylko zresztą, nie odgrywam wiodącej roli.

Do pewnego stopnia godzę się już z tym, że nie jestem i nie będę wielkim czempionem porywającym tłumy oraz brylującym we wszelakich dziedzinach. Taką osobą jest niewątpliwie dla przykładu Larien, postać niezwykle dumna i charyzmatyczna. Zaś osobiście, będąc u władzy, orientuję się szybko, że nad wyraz ochoczo chowam się za plecy małżonki i daję jej samodzielnie przewodzić.

Jest to swego rodzaju wygoda, zrzućcie brzemienia odpowiedzialności na kogoś bardziej doświadczonego i posiadającego na wyposażeniu znamienite atrybuty. Z podobnych względów daję grać pierwsze skrzypce Allearom w przypadku łowienia zwierzyny, do której pochwycenia niezbędne są łuki i strzały.

Jednak sam nie zamierzam być zawsze jedynie biernym obserwatorem wydarzeń, bynajmniej. Dlatego, kiedy napotykamy nietypowego przeciwnika, a mianowicie ślady masywnego tura, wówczas sam postanawiam wziąć sprawy we własne ręce, by pochwalić się męską siłą oraz odwagą.

W związku z tym odbieram od syna Gabu podłużny worek z oszczepami i zakładam sobie na plecy. Następnie wskazuję Allearom, że ścigamy tym razem naprawdę grubego zwierza, lecz obecnie to oni mają pozostać w odwodzie. Oczywiście się godzą i tak zaczynamy leśne podchody.

W ciągu ostatnich miesięcy sporo uczę się na temat odczytywania tropów i teraz, podążając konno leśnymi bezdrożami, z uwagą wpatruję się w ściółkę pod końskimi kopytami. Zauważam złamane gałązki, subtelnie

zmięte liście, to ordynarne odciski racic na ziemi. Te ostatnie pojawiają się coraz częściej i są coraz wyraźniejsze, a wniosek stąd płynie tylko jeden – zbliżamy się do celu.

I oto jest. Na sporej polanie zasnutej z lekka poranną mgłą, jak gdyby nigdy nic pasie się olbrzymi tur. Zwierzę przypominające znacząco byka, lecz z jeszcze masywniejszymi mięskami, oraz znacząco bogatszym porożem. Do tego z grubszą, niemal czarną skórą i szarymi pręgami po bokach. Swoim widokiem doprawdy budzi respekt i podziw niemal niczym krwiożerczy xeratoks z Otchłani.

Sam zatrzymuję się na linii liściastych drzew i nie zsiadając z rumaka, dobywam jeden z oszczepów, po czym powoli przymierzam w kark dzikiego zwierza. Domyślam się, że jeden rzut, nawet celny, nie wystarczy. I w sumie całkiem mnie to cieszy. Zaraz bowiem zacznie się zapewne prawdziwa, dająca emocje gonitwa. A może wręcz otwarta walka?

Z tą myślą i naprawdę podniecony, a na pewno bardziej niż w obecności mej żony, Larien... ostatecznie przymierzam i rzucam! Oszczep wiruje z zawrotną prędkością, szybując z prawidłową parabolą lotu i wręcz z elegancją wbija się w masywny kark potężnego tura. Ten wydaje z siebie gardłowe charczenie, jedno i drugie, od którego to dźwięku podrywają się raptownie spłoszone ptaki. Następnie dezorientowany, dziki zwierz zaczyna miotać się po polanie, wierzgając zawzięcie racicami. Aż naraz jego boku dosięga mój drugi oszczep.

Lecz w tym samym momencie, dosiadany przeze mnie rumak niefrasobliwie rzuca łbem, przebiera kopytami w ziemi i poddenerwowany wysuwa się z linii drzew. To zaś wystarcza, aby zraniony tur namierzył go swymi ciemnymi ślepiami i skierował ku niemu ostre poroże, by wyładować na nim nieokiełznaną furję.

Sam próbuję jeszcze cofać wierzchowca, ale czuję, że tracę nad nim kontrolę. Dlatego pospiesznie wysuwam nogi ze strzemion i wyskakuję w kierunku ziemi.

Czynię to w chwili, gdy szarżującego tura dosięga kilka allearskich strzał, a on sam zderza się przeraźliwie z moim rumakiem. Ten zostaje uśmiercony niemal na miejscu, przewracając się z potężnymi ranami w korpusie od imponującego poroża. Z kolei w zastopowaną, dziką rogaciznę

wbija się jeszcze jedna salwa strzał. A na masywny łeb zwierzęcia spada miażdżące uderzenie wojownika Ambum wykonane okutym żelastwem młotem bojowym. Osobiście również nie pozostają bierni, tylko zawzięcie rzucam oszczepem w zad przeciwnika.

Tur, coraz bardziej oszołomiony, od licznych razów się cofa i przez moment zaczyna biec na środek polany. Aż czyni nawrót i w niewypowiedzianej furii gna prosto na mnie.

Zatem dobywam z pleców jeszcze jeden oszczep i przymierzam w czarne oko bestii. Rzucam z prawdziwym zapalem, ale minimalnie chybiam, trafiając w kość oczodołu. Grot oszczepu odbija się od zwierzęcia, zadając mu jedynie ból i sprawiając, że jeszcze przyspiesza. Dlatego wyczekuję tura do ostatniej chwili i rozpaczliwie uskakuję w bok. Udaje mi się uniknąć ataku poróżem, jednak zwierz raptem hamuje i po wytraceniu prędkości nastawia łeb znowu ku mnie.

Wobec tego zdejmuję z pleców dwuręczny miecz i z pasją atakuję króla tej puszczy, aby zmierzył się w pojedynku ze mną, czyli allearskim uzurpatorem. Mierzę zawzięcie w oczy, ale nie udaje mi się ich dosięgnąć. Za to tura dosięga z boku, prosto w żebra, młot bojowy wojownika Ambum. I jestem za to doprawdy wdzięczny synowi Gabu, bo tym samym ściąga on na siebie uwagę przeciwnika, co zapewne ratuje mi życie.

Tymczasem w chłodnym powietrzu ponownie pomykają allearskie strzały i jedna z nich trafia zwierza w oko. Dotkliwa rana, obok innych już zadanych, sprawia, że tur wreszcie traci nieco animuszu i kotłując racicami w ziemi, się cofa.

Ja sam daję ręką sygnał do wojownika Ambum, jak i Allearów, aby wstrzymali pościg oraz kolejne ataki. Patrę bowiem z pewnym podziwem na potężne zwierzę, które tak walecznie postawiło się licznym myśliwym i ciągle nie dało się pokonać. A zatem niech będzie wolne, jeżeli wybierze życie, nie zaś zemstę za doznane rany – taką w duchu podejmuję decyzję.

I rzeczywiście. Tur powoli przemieszcza się tyłem aż na środek polany. Tutaj staje do nas bokiem i dłuższy czas zastyga w bezruchu, porykując gardłowo. Przejmujący dźwięk odbija się szerokim echem po wielkiej puszczy. Potem król tych kniei, niepokonany, dostojnie odchodzi.

Mój podziw jest dla niego coraz większy. Przeto całuję dwa, złączone razem palce, unoszę wysoko i pozdrawiam waleczne zwierzę. Gdy raptem na przeciwległym skraju polany wyje ono przeraźliwie. Zastyga w miejscu i przewraca się na bok.

Kompletnie zaskoczony zauważam w jego imponującym cielsku kilka nowych, wyjątkowo masywnych oszczepów. A zaraz z przeciwległej linii drzew wychodzą potężne istoty. Są nimi ludzie z głowami lwów. Najpierw ukazuje się ich trzech, a za chwilę sześciu. Potem staje przeciw nam cała dziewiątka i przygląda się nam w gotowości.

Dłuższy czas mierzymy się podejrzliwie czujnym wzrokiem. Natomiast jeden z półudzkich wojowników zdejmuje z pleców broń na podobieństwo maczety, po czym szlachtuje gardło powalonego tura. Cały spryskuje się jego czerwoną krwią, którą rozciera sobie po nagim torsie i zrasza swoją obfitą, lwią grzywę.

Po tym pokazie bezwzględności podnoszę rękę i wykonuję znak ku Allearom, aby podjechali do mnie. Jednak gdy to czynią, bynajmniej nie kieruję ich do straceńczej walki. Zamiast tego wskakuję na rumaka dosiadanego przez jednego z jeźdźców i pokazuję kierunek drogi do odwrotu. Ambum także dosiada swego wierzchowca i wspólnie wracamy do allearskiego obozu.

Dochodzę bowiem do wniosku, iż to, co powinienem teraz zrobić, to zdać Larien sprawozdanie z mojego nietypowego spotkania. Niewątpliwie będzie to lepsze niż dać się ponieść młodzieńczej fantazji, wątpliwej jakości bohaterstwu i zaatakować z marszu nierozpoznanego do końca przeciwnika, by zapewne głupio zginąć.

W siedzibie Allearów, zgodnie z pierwotnym postanowieniem, kieruję się prosto do Larien. Zastaję ją w jej namiocie i opisuję napotkanych napastników. Kobieta bardzo przejmuje się zasłyszanymi wieściami i każe mi niemal natychmiast rozesłać we wszystkie strony liczne patrole jeźdźców. Jednakże, zanim to uczynię, zmusza mnie ona do spełnienia jeszcze jednej powinności. Zaiste bycie władcą jest pełne ustawicznie ponoszonego trudu...

– Nie obchodzi mnie to, że jesteś zmęczony, poraniony i być może prawie straciłeś życie – rzuca władczo moja urocza małżonka i w tym

samym tonie dodaje: – Nasz potomek, przyszły dziedzic Allearów, sam się nie pocznie. Roksin już czeka, zatem nie czyn nam zawodu i po prostu zrób swoje, jak na mężczyznę przystało!

– Mężczyzna pada na pysk... – oświadczam znużony i krnąbrnie padam plecami na zwierzęcą skórę w namiocie. A wraz ze zmianą pozycji na horyzontalną, czuje prawdziwą ulgę po ostatnich trudach. Z kolei Larien najwyraźniej nie daje za wygraną, ponieważ coś energicznie gestykuje do stojącej na czworakach dziewczyny w kącie namiotu.

W efekcie już zaraz doświadczam odpinanego mi paska od spodni. I nie mija dłuższa chwila, a ubrana w suknię Roksin, jedynie bez przepaski biodrowej, siada na mnie okrakiem pod czujnym okiem swej pani, po czym wchodzi w rytm miarowego kołysania.

Wobec zaistniałej sytuacji czuję się doprawdy dziwnie, choć skłamałbym, twierdząc, że nie doznaję przyjemności. A i owszem, ta zaś się systematycznie powiększa. Oddaję się zatem temu miłosnemu uczuciu, a jednocześnie wbijam spojrzenie w stojącą tuż z boku Larien, która cały czas, niczym zahipnotyzowana, się nam przygląda. Aż naraz nadziewa się na moje spojrzenie i jak zbudzona ze snu wyrzuca z siebie oschłe „przepraszam”. Następnie pospiesznie cofa się do progu namiotu, gdzie mogę podziwiać już tylko jej plecy.

Lecz zdecydowanie bardziej wolę obdarzać spojrzeniem sylwetkę wspinającej się na mnie Roksin. Fizyczna miłość z nią jest doprawdy tak prosta i niewinna, że zaczynam odnajdywać w niej specyficzne upodobanie. Szczególnie rad jestem, iż dziewczyna bynajmniej nie cierpi katuszy z powodu przymusowych zbliżeń ze mną. A wręcz przeciwnie, gdy posapuję w chwili spełnienia, tak jak w bieżącej, ona wpiera moje szczytowe doznanie, przyspieszając ruchy i mocno wygina się w krzyżu, eksponując pod suknią całkiem obfity biust.

Tak, być może ja sam jestem przeklęty, podobnie, jak moja matka, ale płodzenie dzieci bynajmniej nie wydaje się przekleństwem. W każdym razie daje mnóstwo przyjemności i pozwala oddalić od siebie wszelakie smutki – myślę tak odprężony, kiedy jest już po wszystkim.

W nadchodzące dni Larien dwoi się i troi, aby namierzyć i zlikwidować w allearskich lasach niepożądanych przybyszy w roli ludzi z głowami

lwów, popleczników Boga Avenedora. Ale ci przepadają bez śladu. To zaś nie uspokaja mej żony, a nawet przeciwnie. Coraz bardziej niecierpliwie wygląda ona powrotu Hamri z królestwa Saladior, twierdząc, że czas inwazji następnego syna Anrei i Abezzala najwyraźniej nieubłaganie nadchodzi, skoro tak daleko wysyła on swe patrole.

Być może jest w tym sporo racji. Ale ja sam niespecjalnie się tym przejmuję. Zdaje sobie bowiem sprawę, że dwóch allearskich wodzów to przynajmniej o jednego za dużo do skutecznego dowodzenia, więc tradycyjnie świadomie ustępuję pola Larien. Pozostawiam jej sprawę sprawnego pokierowania zarówno polityką, jak i wojskami w celu obrony Pendorum. Sam natomiast wiodę w allearskim obozie względnie spokojne życie, które systematycznie jest mi tu umilane, nie przeczę.

Korzystając z nieobecności Larien, wchodzę do jej namiotu, żeby poczęstować się butelczyną kuszącego mnie wina ze zbiorów małżonki. Ale obok trunku zauważam zaskoczony Roksin. Z kolei moje zdziwienie bierze się poniekąd stąd, że nasze zbliżenia pod czujnym okiem Larien odbywają się cyklicznie jedynie wieczorami, a teraz mamy południe.

Potem moje zaskoczenie jeszcze się potęguje, kiedy dziewczyna z uśmiechem na ustach zdejmuje zębami korek od butelki i bierze łyk wina. A zaraz poi również mnie. I nawet nie wiem kiedy, a spoczywamy nadzy w miłosnym uścisku na zwierzęcej skórze i się kochamy. Lecz tym razem inaczej, bo pobudzeni cierpkim trunkiem i bez nadzorczyńni w sposób pełen namiętności oraz w pozycjach, na które nie byłoby przyzwolenia ze strony Larien. Ponadto po raz pierwszy obdarzamy się czułymi pocałunkami.

Jednakże podczas jednego z nich, sam dla siebie, nieoczekiwanie przerywam naszą wspólną miłość. Siadam koło Rokisn, biorę głębszy oddech i ponuro się do niej zwracam:

– Przepraszam, ale... nie powinniśmy, bo... nie wyniknie z tego nic dobrego...

– „Nie rozumiem” – gestykuje zdezorientowana dziewczyna. Ja sam próbuję pokrętnie wyjaśnić:

– Mamy pewien cel, spłodzenie dziecka i na tym powinniśmy poprzestać... Ponieważ rozbudzanie wzajemnego uczucia, namiętności...

Na dłuższą metę przyniosą nam jedynie ból... – Zaraz się poprawiam. – Tobie go przyniosą, a nie chcę tego...

– „Nie rozumiem” – gestykuluje ponownie Roksin, jej ręce się załamują, a grymasy na twarzy zdradzają postępujący smutek. – „Jesteś wśród Allearów, nie musisz być wierny żonie, masz do mnie prawo, a ja do ciebie”.

– Posłuchaj... chodzi o co innego... – pojękuję.

– „Więc o co? Nie rozumiem”.

– Otóż... Nie kocham cię i... nie będę cię darzył prawdziwym uczuciem... – mówię smętnie. – I chociaż sam być może pragnąłbym, aby było inaczej, to moje serce należy do innej kobiety...

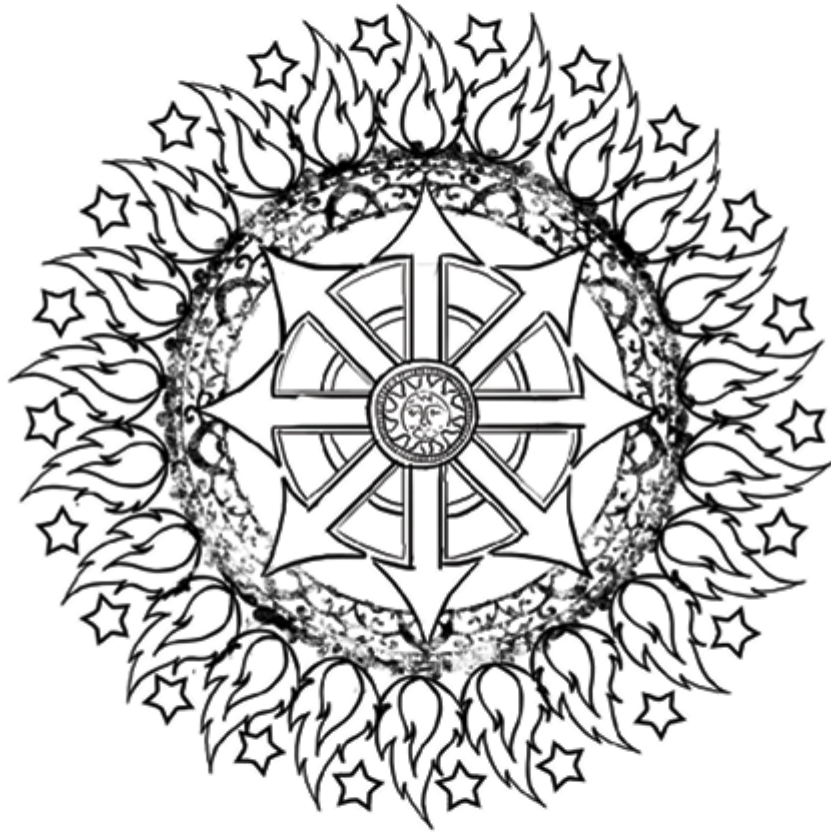
– „Możesz kochać mnie i Larien. Twoje serce jest duże”.

– Niestety wypełnia je tylko jedna miłość do jednej osoby... – oznajmiam stroskany o dobro dziewczyny. – Tak czy inaczej wspólne życie nie jest nam pisane, a ja nie chcę... bardzo nie chcę cię zranić. Nie zasługujesz na to...

– „Nie rozumiem” – czyni raz jeszcze te same gesty dziewczyna. Jej ręce drżą, a w oczach pojawiają się łzy. Raptem w pośpiechu wstaje, przywdziewa ubranie i wybiega z namiotu.

Sam nagle czuję się wyjątkowo źle, a wręcz gardzę sobą, zdając sobie sprawę, że dla własnej przyjemności i wygody ponownie bawię się cudzymi uczuciami. W oczywisty sposób skrzywdziłem już Nail i to nie raz. Czy teraz to samo ma spotkać z mej strony niewinną Roksin?

W porywie gniewu chwytam do połowy opróżnioną butelkę wina, odwracam się i ciskam nią w próg namiotu. W tym momencie zauważam, że stoi tam Larien. Nie wiem, od jak dawna tam jest i czy była ona świadkiem niedawno przeprowadzonej tu rozmowy. Teraz natomiast moja małżonka pochyla nisko głowę, po czym odchodzi. Zostawia mnie ze smętnymi myślami o ranionej przez nas Roksin, którą dla własnych celów wykorzystujemy w perfidny sposób. Także pozostawia mnie z ponownie rozbudzonymi, tęsknymi marzeniami o mojej Nail...



III. ŚWIĘTO BOGINI HARREMID

Wkrótce Larien przekazuje mi wieści, iż Roksin spóźniają się krwawe, kobiece dni. Natomiast tutejsi znachorzy, po zbadaniu jej pulsu, zgodnie orzekają, iż dziewczyna jest w ciąży. W odpowiedzi oznajmiam małżonce, że tradycji staje się zadość. Potomek władców Allearów będzie nosił w sobie boską krew mitycznej Anrei. Jednak dobitnie zaznaczam, że nigdy więcej nie będę się zbliżał z fizyczną miłością do Roksin, podobnie nie dam sobie narzucić innej kochanki. Z kolei samej Larien przypominam, aby cyklicznie powiększała pod swoją suknią poduszkę noszoną przez nią już niebawem na łonie. Naszą grę pozorów trzeba bowiem kontynuować, aby misterną intrygę doprowadzić do szczęśliwego końca. Władczyni Allearów zbywa me słowa milczeniem. Lecz to milczenie jest bardzo wymowne. Ona wie, że ze mną także musi się liczyć i niniejszym z moim stanowiskiem się zgadza.

Tymczasem od samego ranka w obozowisku Allearów następuje pewne nietypowe poruszenie. Więc jako ktoś kompletnie nieobeznany z kulturą tutejszego ludu, zwracam się z frapującym mnie pytaniem do Larien:

– Widziałem w obozie ludzi, którzy wymieniali się maskami zwierząt. Inni przygotowują kosze z wielkimi ilościami popiołu. Czy mam zatem rozumieć, że szykuje się tutaj jakieś święto?

– Nie inaczej, to święto Bogini miłości i walki Harremid – odpowiada z typową sobie rezerwą Larien. Ćwiczy ona akurat strzelanie z łuku, trafiając raz po raz w sam środek tarczy strzelniczej. Mnie jednak bardziej niż popisy kunsztu strzeleckiego kobiety, interesuje jej wiedza na temat wspomnianego święta, dlatego drążę temat:

– Czemu świętujecie postać Bogini, którą od tysiącleci uważacie za wrogą?

– Ponieważ jest ona symbolem tego, co reprezentowała sobą wcześniej. Albowiem wyobraź sobie, że przed wspomnianymi tysiącami lat również istniał czas... – drwi Larien, naciągając z wolna strzałę na cięciwę łuku. – I w tym zamierzczłym czasie... – ciągnie kobieta. – Harremid, Bogini miłości, naprawdę darzyła nas czystym uczuciem. Kochała nas, a my ją. Więc cóż z tego, iż teraz... – ucina zdanie, a grot wystrzelonego przez nią drzewca dosięga samego środka tarczy.

– Rozumiem... – stwierdzam i zadaję pokrewne pytanie: – A jak to się właściwie stało, że piątka dzieci Anrei oraz Abezzala to skrzydlate, ludzkie istoty z głowami zwierząt? Przecież ich boscy rodzice jawią się z całkiem ludzkimi sylwetkami.

Larien z pietyzmem poprawia lotki w strzale i niespiesznie wyjaśnia:

– Kiedyś istniało same Pendorum bez przekłętej Otchłani. Zamieszkiwali tu wyłącznie Allearzy bez innych nacji. Wreszcie była tu boska para małżonków, ale pierwotnie nie mieli dzieci...

– A potem...? – wtrącam nieśmiało.

– Otóż... pewnego razu mityczna Anrea przybrała materialną postać, aby nacieszyć się światem, jaki stworzyła. Mianowicie przeistoczyła się w rogową łanię, by radośnie biegać po łąkach oraz lasach i poczuć ożywczą naturę z perspektywy zamieszkujących tu istot. Lecz Bóg Abezzal podpatrzył ją, co też czyni i sam przybrał postać dumnego jelenia. Ta para, oczarowana sobą, spotkała się razem w gęstej, allearskiej puszczy, a owocem ich ówczesnej miłości jest właśnie Harremid...

– Arezar, Bóg odwagi...? – wymieniam kolejne, boskie dziecię, a naszego wspólnego brata.

– Legenda głosi, że kiedyś do wybrzeży Pendorum przybyła wielka armada obcych okrętów z dalekiego kontynentu. Krainie groziła inwazja. I wtedy Bóg Abezzal przybrał postać gigantycznego, groźnego psa. Stał on nad brzegiem morza i ujadał tak długo i tak zajadle, aż u jego boku w analogicznej postaci pojawiła się Anrea. Tak oto przybysze zostali przegnani, a para zwycięskich kochanków, upojona swym dokonaniem, oddała się na plaży cielesnej miłości...

– A Bóg Avenedor honoru i walki...?

– Avenedor, Bóg honoru i... walki... – powtarza po mnie Larien. Odkłada piśczoną do tej pory strzałę, bierze do ręki inną i spokojnie mówi: – Pewnego razu grupa niewdzięcznych Allearów wyszydzała parę swych Bogów, w tym w szczególności okrutnie ubliżali oni Anrei. W odpowiedzi Abezzal objawił im się jako potężny lew i pożarł ich, aby ochronić honor i dobre imię kochanki. Ona w podzięcie przybrała postać lwicy i...

– Kochali się i tak powstał Avenedor. Skrzydlaty człowiek z głową lwa... – kończę, domyślając się dalszego ciągu tej historii.

– Dokładnie tak... – przyznaje Larien. Bierze ona do ręki łuk do kompletu z już trzymaną strzałą i kontynuuje: – Z kolei Gragezon, Bóg siły, poczęty został w czasie, gdy na kolebkę Allarów szybował z nieba płonący gład. Wtedy Abezzal przybrał postać niebotycznego niedźwiedzia, a wraz z nim, aby wspierać małżonka, to samo uczyniła boska Anrea. I wspólnymi siłami pochwycili niebiański kamień, po czym odrzucili go daleko od allearskich siedzib. Tak oto powstały Srebrzyste Góry. – Kobieta przymierza w niebo i dodaje: – Natomiast Biramond został poczęty tuż, zanim Anrea wyruszyła do wyższego wymiaru Bogów. Przybrała na ten czas postać wielkiego ptaka. I w takiej samej postaci żegnał ją czule jej małżonek, Abezzal. Wówczas spłodzili Boga świętości i niedługo później Anrea powróciła z dziesięcioma przykazaniami. Miały one wprowadzić Allearów na wyższy poziom istnienia. Ale przyniosły jedynie niezrozumienie i tyranie, a wraz z nimi niepokoje, śmierć oraz pożogę i trwa to aż do dziś. A teraz być może nadchodzi tej klątwy apogeum... – Larien wystrzeliwuje strzałę hen daleko ku błękitnemu niebu.

Dłuższy czas przebywamy razem w ciszy oraz bezruchu, aż poruszą interesujący mnie aspekt nadchodzącej uroczystości:

– Czego powinienem się spodziewać w związku z nadchodzącym świętem Harremid? Zapewne jako władca Allearów mam jakieś obowiązki podobnie jak ty...

– Ty, ja oraz wszyscy inni nadchodzącej nocy mamy tylko i wyłącznie jedno zadanie. Za to identyczne...

– Mianowicie...?

Kobieta spogląda mi surowo w oczy i z pewną pogardą oznajmia:

– Wszyscy będziemy się ze sobą do upadłego gzić, jak zwierzęta...

– Nie rozumiem... – Bezradnie rozkładam ramiona, a Larien kolejny już raz tłumaczy:

– U swego zarania święto miłości Bogini Harremid było u Allearów inne, niezwykle piękne i subtelne... Jednak odkąd zmuszeni zostaliśmy do ciągłej walki o przetrwanie, bardzo wiele się zmieniło i tylko na gorsze. A najważniejszym priorytetem stało się to, aby w naszych szeregach nigdy nie zabrakło wojowników. Zatem jak zmusić allearskie kobiety do ciąży, jeżeli same jej nie chcą lub nie mają kochanków...?

– Mów dalej... – chrypię grobowym tonem.

– Otóż... – Larien wzdycha ciężko i odkłada łuk. – Obecnie w święto Harremid każdy dorosły Allear czy Allearka, o ile nie są akurat na wyprawie wojennej, mają obowiązek pokryć swe ciało szarym popiołem, a na twarz założyć maskę wybranego przez siebie zwierzęcia. Następnie, kiedy nastanie noc, żadna kobieta przebrana za łanię nie może odmówić swych wdzięków mężczyźnie przebranemu za jelenia. Niedźwiedzica nie wzgardzi niedźwiedzim, a lwica lwem i tak dalej...

– I... my także musimy wziąć w tym czymś... udział...? – Od zasłyszanych wieści aż kręci mi się w głowie.

– Tak, musimy – potwierdza Larien. – Popiołu ci u nas niebawem będzie dostatek. Zaś w moim namiocie, koło dobrze znanej ci skrzynki z winem... jest druga. Są tam maski pięciu Bogów Pendorum, których po założeniu nie można zdejmować przez całe święto i żywią nadzieję, że znajdziesz coś godnego siebie. Bo musisz... jesteś teraz Allearem... – Po tych dobitnie wypowiedzianych słowach moja żona odchodzi.

Pozostaję sam ze swoimi myślami, lecz po zasłyszanych wieściach, te nieubłagane lgną tylko w jedną stronę, do jednej osoby, a mianowicie do Nail. Skoro bowiem jest ona na ten czas Allearką, to obowiązek udziału w nadchodzącym święcie ciąży też niewątpliwie na niej. Jeżeli więc inni mają ją tak po prostu mieć, dlaczego więc ja sam, który ją kocham, nie mógłbym ten jeden raz...

Na tę myśl, kielkującego w mej głowie podstępu, pragnę sam siebie zwymyślać i zwyzywać najplugawszymi obelgami. A jednocześnie me nogi już prowadzą mnie prosto do Viri, abym spróbował ziścić swe nieczne plany.

O dziwo ze wspomnianą kobietą, której ostatnio unikam, spotykam się w połowie drogi w samym środku obozowiska Allearów, zupełnie jakby sama kierowała do mnie swe kroki.

– Witaj, bohaterze, zbawicielu, wybrańcze... – kpi na mój widok w swoim stylu Viria, uśmiechając się kąśliwie. Ja sam chwytam ją za rękę i prowadzę w milczeniu na skraj obozu. Dopiero tutaj, gdzie zapewniona jest nam pewna intymność, nieśmiało zagajam:

– Wiadome jest ci coś na temat nadchodzącego tu święta Bogini Harremid...?

– A i owszem, owszem, ogierze, jeleniu... – Kobieta gładzi się lubieżnie po obfitych piersiach.

– Czy... Nail także weźmie udział w tym święcie...? – zapytuję.

– W nadchodzącej orgii...? Podobno każdy musi – wypala Viria.

– No tak, zgadza się... – A czy ona tego chce, oddać się Allearom...?

– Może sam ją o to zapytaj! – krzyczy naraz kobieta i odwraca się z zamiarem odejścia. Chwytam ją przeto za ramię i jednym tchem z siebie wyrzucam:

– Na wschodzie, poza allearskim obozem, jest strumień, a idąc z jego biegiem, można dojść do opuszczonego szałas. Więc jeżeli Nail pragnęłaby przeczekać gdzieś w spokoju nadchodzącą... orgię... to może się tam skryć.

– Hmh... – Viria obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Może jej to przekażę... – mówi i tym razem już niezatrzymywana kieruje się z powrotem pomiędzy namioty. Ja zaś, niby od niechcienia, rzucam za nią:

– Wiesz za kogo przebierze się Nail?

– Za rogatą łanię – pada mechaniczna odpowiedź, a jest nią wszystko, czego obecnie potrzebuję.

Wkrótce powracam do namiotu Larien i ze wspomnianej przez nią skrzyni wyjmuję okazałą maskę jelenia, którą przymierzam. Dochodzę do wniosku, że całkiem dobrze pasuje. Zatem nie omieszkam jeszcze skosztować wina z drugiej skrzyni i o zmierzchu, już przebrany, wychodzę z namiotu. Natomiast w jego progu stoję jak zamurowany.

Zapada noc, a pośród licznych zapalonych pochodni snuje się gęsty, szary dym z żelaznych koszy. W nich samych znajdują się góry popiołu, który co raz jest wzburzany i nasycza przestrzeń, gdy jakaś postać ze zwierzęcą maską na twarzy smaruje nim dokładnie swe nagie ciało. Sam również się rozbieram i dokładnie pudruję swoją skórę. A jednocześnie śledzę wzrokiem rozliczne pary w miłosnych uściskach.

Dostrzegam kobietę z maską lwicy, do której podchodzi mężczyzna z analogicznym, ale męskim przebraniem. Naraz gwałtownie odwraca lwicę i bez pardonowo bierze ją od tyłu. Nieco dalej całuje się łania z jeleniem, a pod namiotem kopuluje para przebrana za psy. Gdzie indziej żywiłowo tarzają się po trawie Allearzy przebrani za niedźwiedzie.

Doświadczany widok cielesnych uniesień wespół z wypitym uprzednio winem wzmagają me własne podniecenie. Te jeszcze się zwiększa, gdy kończę pudrować ciało, a na mych plecach zawiesza się kobieca postać przebrana za łanię. Przytula się do mnie i obejmuje namiętnie.

Lecz ja wyrywam się z tego uścisku, pomny, że gdzie indziej zapewne także czeka na mnie kobieta przebrana za łanię, za to niezwykle mi droga. Dlatego jak szalony porywam się za obóz i biegnę w mroku pomiędzy drzewami aż do znanego mi szałas. Na miejscu staję w bezruchu i bacznie się rozglądam.

W słabym świetle gwiazd i księżyca zauważam nad brzegiem strumienia siedzącą postać tuż koło siedliska zbudowanego z gałęzi. Przybliżam się ostrożnie i wyławiam wzrokiem, że to kobieta z maską łani na twarzy. Nagle serce bije mi mocniej, mimo że dopiero co oddawałem się szybkiemu biegowi i przechodzi mnie kolejny dreszcz podniecenia. Jednocześnie zbliżając się, łamię pod stopami zeschnięte patyki, zdradzając swoją obecność.

Kobieta odwraca się do mnie przodem i przypatruje uważnie mej osobie. Ja sam poprawiam maskę jelenia i klękam ostrożnie tuż przed odnalezioną postacią. Wpatrujemy się w siebie nawzajem przy akompaniamencie pohukiwania sowy i szemrzącego cicho strumienia, wodząc po zatopionych w mroku, niewyraźnych sylwetkach. Aż nie mogę się dłużej powstrzymać i wyciągam rękę, aby dotknąć kobiecą pierś.

Chwytam ją, a postać przede mną poddaje się temu i sama mnie obejmuje. Dłużej gładzimy się wzajemnie, czyniąc to coraz mocniej i

namiętniej. Następnie przytulamy się silnie do siebie i przechodzimy do coraz gwałtowniejszych pocałunków. I w tej upojnej chwili wcale nie przeszkadza mi to, iż moja kochanka zapewne nie wie, kogo skrywa me przebranie.

Dla mnie samego jest tak cudownie, zupełnie inaczej niż z Roksin, czy kiedyś z Virią, ponieważ mam w ramionach moją Nail, osobę, którą naprawdę kocham. Kocham i pożądam obecnie wręcz do granic możliwości.

Dlatego nie czekam dłużej, tylko przygniatam ją ciężarem własnego ciała, aby spoczęła plecami na ziemi. Gdy mi się to udaje, zagłębiam głowę pomiędzy udami kochanki, po czym kolejnymi pocałunkami wiodę po jej ciele przez łono, piersi, szyję aż do ust.

W tym momencie wspinam się do końca na kobietę i nie jestem w stanie kochać się z nią inaczej, niż niezwykle gwałtownie, bowiem tak silny pożera mnie głód jej ciała, chyba jak jeszcze nigdy. Ona odwzajemnia się, intensywnie podrygując biodrami, aby nadażyć za moim tempem.

I tak oto wręcz szaleńcze podniecenie prowadzi mnie błyskawicznie na sam próg szczytu rozkoszy. Ażeby jeszcze zwielokrotnić przyjemność, po prostu nie mogę się powstrzymać i w szczytowym momencie łamię zakaz tego święta. To jest ściągam maskę z twarzy kochanki, aby spojrzeć w te ukochane lico, twarz Nail i jej ciemne oczy. Jednak... zaraz dostrzegam, że bynajmniej nie są to oczy Nail, podobnie, jak nie jest to jej twarz...

Doznanie mej cielesnej rozkoszy jest właśnie w kulminacyjnej fazie. Targają mną intensywne dreszcze, a jednocześnie coraz bardziej rzadnie mi mina, kiedy w mroku odczytuję znane mi rysy kobiecej twarzy, której właścicielki nawet nie znam imienia. Choć znam tę postać. To zakonniczka, której niegdyś ratuję życie po moim nieudanym zamachu na Boginię Harremid. I nie mam pojęcia, czemu nie towarzyszy ona w wyprawie wielkiej mistrzyni Hamri, chociaż powinna, ale doprawdy jest to na ten czas moje najmniejsze zmartwienie.

Po wszystkim wstaję kompletnie oszołomiony. Po doznanym wysiłku oddycham szybko i płytko. Do tego rozglądam się zdezorientowany naokoło, zupełnie jakbym mógł gdzieś tu dojrzeć skrywającą się Nail. Lecz

to już oczywiste, że jej tu nie ma. Tu ani w pobliżu. Natomiast zapewne odnalazłby ją w...

Na myśl, że moja ukochana właśnie beztrosko oddaje swe ciało licznym Allearom raptem czuję niesmak w gardle oraz swoiste napięcie w plecach. Z mego niedawnego uczucia rozkoszy nic już nie pozostaje i powłóczęc niemal nogami, powracam posępnie do allearskiego obozu.

Na miejscu wymijam liczne pary przebrane za niedźwiedzie, lwy, czy psy, kopulujące w najlepsze w szarym, gęstym dymie i wydające iście zwierzęce pomruki. Aż zatrzymuję się dłużej przed budowlą na wzór ołtarza, gdzie na płaskiej, kamiennej płycie otoczonej rozsypanymi kwiatami, pręży się na czworakach naga kobieta z maską łani. Akurat odchodzi od niej po swym spełnieniu jeden z mężczyzn, jeleni, a drugi klęka za jej pośladkami i obejmuje w talii, inicjując cielesną miłość. Zaś inni już ustawiają się w kolejkę.

I już zamierzam iść dalej, kiedy spod maski łani na głowie kobiety zauważam wystający, długi i czarny kosmyk włosów. Wtedy jak grom z jasnego nieba dociera do mnie, że praktycznie wszyscy widziani przeze mnie Allearzy mają jasne włosy. A skoro tak, to obserwowaną przeze mnie kobietą z tak licznymi kochankami musi być...

Nail – posyknę gniewnie do siebie w duchu. I zaraz brutalnie odpycham mężczyznę oddającego się właśnie miłości i sam zajmuję jego miejsce.

Nie mija chwila, a grzmocę bez opamiętania biodrami w kobiece pośladki. Czynię to wręcz ze wściekłością i kilka razy zamasyście uderzam krągłości przede mną dłonią, pozostawiając na nich czerwone plamy. Porywa mnie jakaś nieokiełznana furia, daję się jej ponieść i zupełnie przestaję nad sobą panować. Czuję niewypowiedziane upokorzenie i niesprawiedliwość spowodowane tym, że koło szałasu nie odnalazłem mej Nail. Ona najwyraźniej sobie ze mnie zakpiła i w najlepsze oddała się Allearom, każdemu z nich.

Dziwka – myślę tak, dochodząc już do szczytowego momentu. Kładę się kobiecie na plecach, po czym posyknę jej jadownicę do ucha:

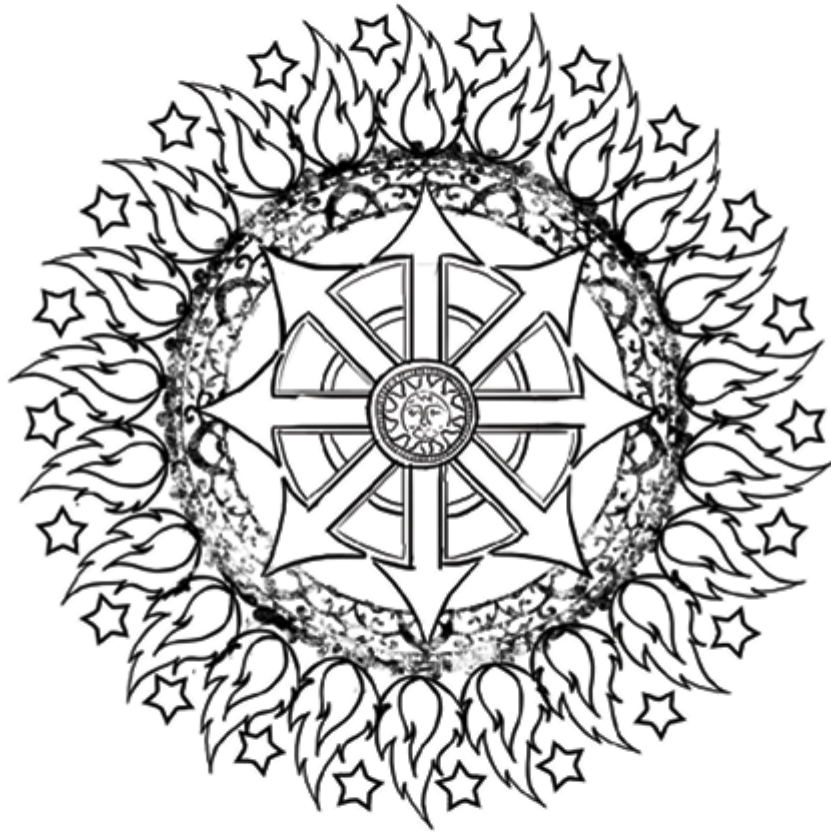
– Ty suko, szmato... Ty allearska dziwko... Masz zatem jeszcze i mnie, wybrańca, masz... Ty niewyżyta... – W tej chwili rozplaszczam się na

kobiecie, a intensywność doznawanego spełnienia na dłuższy czas odbiera mi zmysły. Potem jak pijany odstępuję od kobiety.

Z kolei moja kochanka klęka i odwraca się ku mnie, zaczesując sobie ręką pod maskę czarny kosmyk włosów. Ja zaś spoglądam w maskę łani, aby z wyższością popatrzeć Nail prosto w oczy. Lecz zauważam... tylko jedno oko...

– Vira... – wyrzucam z siebie na bezdechu, gdy przypominam sobie, że także ta postać nosi dumnie czarne włosy. – Następnie odchodzę stąd. Zataczam się i odpycham rękoma od kopulujących wszędzie par, nie mogąc już dosłownie znieść ich widoku i tych wszędobylskich, upojnych jęków zwierzęcej chuci. Aż docieram do namiotu Larien.

Tu porywam się do skrzyni z winem jak do mego prawdziwego wybawienia. Siadam tyłkiem na zwierzęcej skórze, otwieram butelkę, po czym łąpczywie piję i piję. A kiedy opróżniam pierwszą butelczynę, biorę się za kolejną. I czynię to tak długo, aż nadmiar alkoholu sprowadza na mego zmordowanego ducha gwałtowny sen.



IV. GOŚCIE

Nazajutrz, z dość intensywnym ómieniem głowy spowodowanym nadużyciem wina, zasiadam przy znanym mi szałasie w pobliżu strumienia. Wybór tego miejsca nie jest przypadkowy. Z jednej strony przypomina mi ono o tym, że w pogoni za własnymi żądzami znowu kompletnie się pogubiłem i otrzymałem za to od losu konkretny prztyczek. Ponadto chłodna, płynąca woda, daje mi prawdziwe ukojenie, gdy co raz zanurzam w niej pulsującą bólem czaszkę.

– Mogę? – W pewnym momencie słyszę za plecami śmiały, kobiecy głos. Należy on do Viri we własnej osobie, która nie czekając na zaproszenie, już gramoli się koło mnie. Mimo to kurtuazyjnie odpowiadam:

– Oczywiście, zapraszam... – I sam wyrzucam z siebie to, co cały czas leży mi na duszy: – Czemu z Nail zakpiłyście sobie ze mnie...?

– Otóż wcale nie zakpiłyśmy. – Słyszę niewinnie wypowiedane słowa wraz z płaskim kobiecego tyłka na kamieniu koło mnie. – Wszystko to było w dobrej wierze, zapewniam.

– Czyżby...?

– Ależ tak. Zakonniczka, którą obdarzyłeś niespodziewaną miłością, już dawno miała na ciebie chrapkę. I co, za kogo ty mnie masz, w końcu nie mogłam jej odmówić!

– No pewnie... niewątpliwie z czystej dobroci serca – mówię bez przekonania. – A... jaką maskę nosiła Nail...? – dodaję z ciężkością w głosie.

– Żadnej – pada niespodziewana odpowiedź.

– Żadnej...? – Spoglądam zdumiony na kobietę.

– No tak. Nasza Nail od dawna jest na wypadzie w pobliżu obecnych siedzib Jeźdźców Majanu. Zdaje się sama Larien ją tam wysłała, aby

trzymać jej wdzięki z dala od ciebie. Zapobiegawcza, allearska suka...

– Czyli cała ta orgia Nail ominęła... – mówię sam do siebie i naraz czuję niewypowiedzianą ulgę.

– Zaiste, biedaczka – kwituje Viria i szturchając mnie łokciem w bok, kąśliwie dodaje: – Za to my sobie poużywaliśmy i to zdrowo, nieprawdaż, ogierze?

– Nie wiem, czy zdrowo... – mruczę i patrząc z pewną dezaprobatą na kobietę, wyrażam wątpliwość: – Nie przeszkadza ci to, że wczoraj mogło zostać poczęte dziecko w twym łonie, a ty nigdy nie poznasz ojca...?

– Wcale – ucina kobieta.

– Nic a nic?

– Nic, ponieważ już od dawna jestem w ciąży, ha! – wypala radośnie. I spoglądając na mnie swym jedynym okiem, gładzi się czule po brzuchu. Ja zaś dopiero teraz zauważam, że w swoim czarnym pasie musiała zrobić dodatkową dziurkę, a spódnica na jej łonie jest niedwuznacznie napęczniała.

– Czyje to dziecko...? – zapytuję z wyraźną rezerwą.

– A jak myślisz, ogierze...? – Kobieta puszcza mi oko.

– Nie mów... Moje...? – oznajmiam zamierającym głosem i pozostaję z niedomkniętą szczęką.

– Tak, twoje – pada ostra odpowiedź, niczym przeszywające mnie ostrze miecza. – Albo syna Gabu – dorzuca obojętnie przyszła matka.

– Więc nie jesteś pewna... – stwierdzam skołowany.

– A skąd niby mam to wiedzieć?! – Viria wyrzuca w górę ramiona. – Jedno jest jednak pewne. Za kilka miesięcy powiję dziecko i albo będzie ono pełne boskości! Jeżeli to ty jesteś ojcem... Bądź też wielkości! Jeśli dawcą nasienia został Ambum.

– Dawcą nasienie... – jęczę bez przekonania.

– A jak! – nie kryguje się Viria i wyjaśnia: – Mam już swoje lata i to ostatni moment, abym miała dziedzica, który przejmie po mnie piracką flotyllę. Dlatego nie było tu żadnego przypadku. Miłość z tobą czy synem

Gabu była jak najbardziej wkalkulowana w osiągnięcie mego celu w postaci różowego, pociesznego bobaska!

– A czemu akurat nas wybrałaś...? – interesuję się.

– Ot, napatoczyliście się. Z kolei w porównaniu z otaczającymi mnie ostatnio mężczyznami, prezentowaliście się całkiem znośnie. Bo kto niby miał zostać ojcem mego dziecka, może Zachar? Phi, dobre sobie...

– A Ravel...? – zagajam nieśmiało.

– Ravel... – powtarza kobieta, po czym przeżuwa w ustach siarczyste przekleństwo i spluwa do strumienia. A wstając na równe nogi, oświadcza: – Wspomniany złodziej i ostatni łajdak właśnie sprawił, że łaskawie zaszczyciłam cię swoją wizytą. Jednak nie zamierzam się przed nim kryć ani uciekać. Zatem bywaj, wracam do Allearów – ucina ostro kobieta i odchodzi.

– Nie rozumiem?! – rzucam za nią.

– Zrozumiesz, jak wrócisz do obozowiska. Właśnie ma ono niespodziewanych, za to licznych, gości... I jeszcze jedno...

– Tak?

– Ty allearska dziwko! Masz podejście do kobiet, nie powiem! Naprawdę podobało mi się, ha!

Wkrótce po intrygującej zapowiedzi Viri idę w ślad za nią i tak oto docieram do obozu Allearów, gdzie rzeczywiście trwa nie małe poruszenie. Dostrzegam sporych rozmiarów kryty wóz, z którego obcy mężczyźni wynoszą paki i skrzynie. Natomiast nieopodal zauważam zbrojne zakonniczki, w tym samą Hamri. Żwawo kieruję się do tej ostatniej i kiedy staję tuż przed nią, mówię z pewnym wyrzutem:

– Długo cię nie było z powrotem. Już wręcz powoli traciłem nadzieję, że...

– Ja też niezmiernie się cieszę, że ciebie widzę, zacny wodzu obecnie znamienitych dla mnie Allearów! – Kobieta wchodzi mi w słowo i mocno przyciska do siebie. Następnie odsuwa się na zwyczajową dla rozmówców odległość i swobodnie ciągnie dalej: – Bądź pozdrowiony przez światłość i wiedz, iż ta ci sprzyja, nieustannie...

– Czyli...?

– Otóż zawarłam wstępne porozumienie z królem Saladior, Rewardem. Niniejszym jest gotów wyjść naprzeciw wojskom inwazyjnym Avenedora i uczynić to ramię w ramię z Allearami!

– Tak po prostu...? – wyrażam wątpliwość, marszcząc rude brwi.

– Nie tak po prostu. – Hamri macha niedbale ręką. – Musiałam wykonać dla wspomnianego monarchy tajną i krwawą misję na terytorium konfederacji Favere. Ale oto jestem szczęśliwie z powrotem! – Rozpościera szeroko ramiona. I rozglądając się bacznie naokoło, zupełnie jakby kogoś wypatrywała, zaraz nieco zafrasowana dopytuje: – Gdzie Viria...?

– Zdaje się, że gdzieś w pobliżu razem ze swym na ten czas błogosławionym brzuchem – mówię.

– Jest w ciąży? – Hamri nie kryje zdumienia.

– Ano tak – potwierdzam. Na co wielka mistrzyni ponownie macha niedbale ręką i okraszając swą całkiem ładną twarz szerokim uśmiechem, oznajmia: – Nic to, niech sprzyja jej światłość, jak wszystkim godnym tego istotom. Ja natomiast przyprowadziłam ze sobą kogoś bardzo bliskiego naszej Viri... – kończy tajemniczo i niezwykle głośno gwizdże na palcach. A już za chwilę podchodzi do nas skośnooki mężczyzna z niemal łąsą czaszką i długą brodą zaplecioną w warkocz.

– Ravel... – potwierdzam na jego widok tożsamość mężczyzny.

– Do usług. – Ten kłania się nad wyraz nisko, po czym puszcza mi soczystego całusa i lekko obejmuje ramieniem Hamri. Ona z kolei wyjaśnia:

– Podczas naszych wojaży na terytorium konfederacji Favere my, siostry zakonne, spotkałyśmy i przyjęłyśmy w nasze świetliste szeregi tego oto mężczyznę. Tak, wiemy, kim jest i jaką trudni się profesją... Ale w obecnych, okrutnych czasach zaiste inni ludzie, jak i nieludzie... stanowią znacząco większe zagrożenie dla dobroci oraz pokoju.

– Nie do końca rozumiem – oświadczam, a dalszych wyjaśnień udziela sam Ravel:

– Nadeszły niespokojne czasy, gdzie walą się całe królestwa, a władcy strącani są z piedestałów. I w tym chaosie nie każdy z możliwych panów jest skłonny zadbać należycie o swój majątek. I jakby to powiedzieć... tutaj

pojawiają się moi Bracia Cienia... aby się o cudze kosztowności odpowiednio zatroszczyć...

– Ciągłe nie rozumiem... – Czynię coraz bardziej skonsternowaną minę. Aż nastaje dłuższa chwila ciszy, w której Ravel i Hamri patrzą po sobie, po czym ta ostatnia bez ogródek wypala:

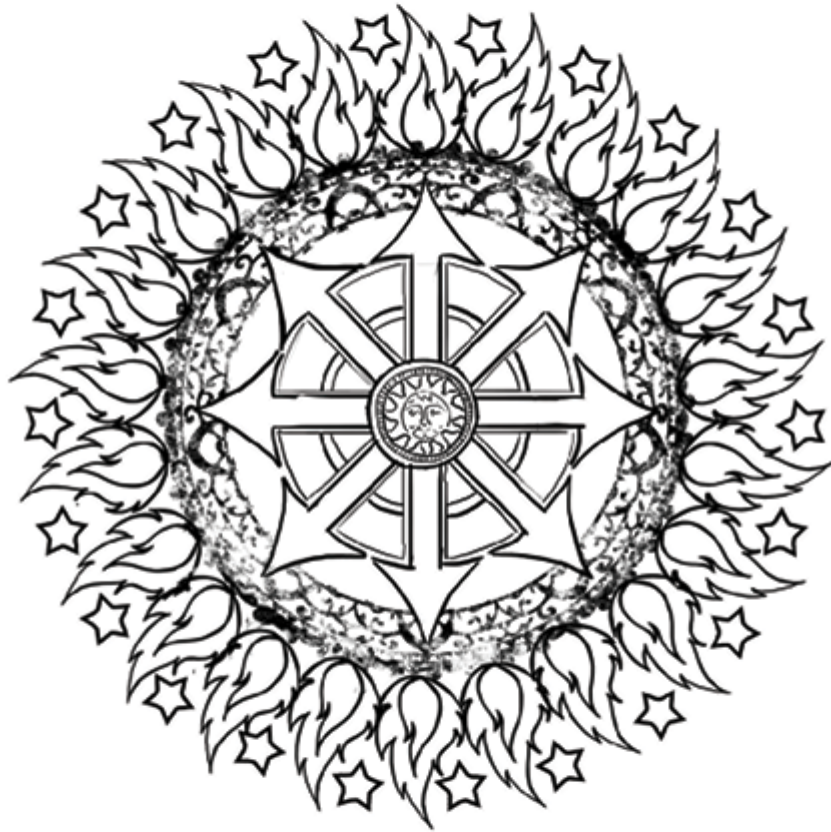
– W imieniu jedyne go władcy Allearów, wybrańca Avezana, zawarłam pakt ze złodziejami Braci Cienia. Tym sposobem, łącząc siły, wracaliśmy z konfederacji Favera przez ziemie Razzinal, gdzie wspomniani Bracia wskazywali nam, zakonniczkom, kogo wypadałoby odpowiednio złupić. – W tym momencie przenoszę wzrok na dostrzeżony uprzednio przeze mnie pełen wóz, a wielka mistrzyni kontynuuje: – Tak, to właśnie łupy z dawnego księstwa od bandy zafajdanych arystokratów, którzy wiecznie skapili swych bogactw dla biednych i potrzebujących, a teraz spotkała ich zasłużona kara!

– Nas dla odmiany bogactwo... – zauważa Ravel i z szelmowskim uśmiechem na ustach dodaje: – Za naszą nieocenioną pomoc... Bracia liczą sobie jedynie nędzne trzydzieści trzy procent łupów. Do usług i polecamy się na przyszłość...

– Teraz... już wszystko rozumiem... – Wreszcie wypuszczam z płuc całe nagromadzone powietrze, kiedy dociera do mnie, jak się sprawy mają. Potem czynię to, co mi, władcy, wypada uczynić. Czyli gratuluję Hamri pozyskania nowego sojusznika w naszych szeregach, także udanej akcji na ziemiach Razzinal oraz zawarcia wstępnego porozumienia z królem Rewardem z Saladior. Podobnie pochwały ślę w kierunku Ravela i jego nietuzinkowych umiejętności. Zachęcam, żeby pozostał na miejscu, bo być może będziemy jeszcze mieli jakiś wspólny interes, na którym oboje skorzystamy. Na koniec zaś idę do wozu, aby oszacować wartość łupów. I po oględzinach doznaję olśnienia, że za gromadzone kosztowności otwierają się przede mną zupełnie nowe perspektywy. Ot, chociażby wynajęcie sporego oddziału najemników.

Jednak zanim się do tego zabiorę, odbywam naradę wojenną z Hamri oraz Larien. Obie kobiety są zgodne, że w obecnych okolicznościach zawiązującego się sojuszu z królestwem Saladior nie można potencjalnego porozumienia wypuścić z rąk. Ustalamy zatem, że aby kuć żelazo, póki

gorące, osobiście udam się na królewski dwór z Hamri i tym razem ustne umowy wesprzemy już podpisanymi dokumentami o wzajemnej współpracy. Tak też czynię i wspólnie z wielką mistrzynią Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani wyruszamy konno w niemal tygodniową podróż.



V. W TAWERNIE

Zgodnie z wiedzą Hamri król Reward w trosce o swe bezpieczeństwo nie przebywa obecnie w stolicy królestwa, a rezyduje od dłuższego czasu w twierdzy Harensen i tam też udajemy się docelowo. Jednak po drodze mamy akurat na naszym szlaku stolicę przemierzanego władztwa. A skoro tak, to po wielu tygodniach spędzonych w allearskiej puszczy, złakniony nowych wrażeń nakłaniam towarzyszącą mi zakonniczkę na nocleg w wielkim mieście.

Tak oto z nastaniem nocy przekraczamy otwarte, żelazne bramy z wygrawerowanymi na nich olbrzymimi lwami. Mijamy także niebotyczne mury, które swym ogromem budzą prawdziwy respekt i wydają się wręcz nie do zdobycia. Następnie podziwiamy w półmroku oddziały opancerzonych halabardników i czerwone sztandary z różnorodnymi malunkami królów zwierząt – lwów. Potem jedziemy koło siebie konno już w samej matni ponoć najbogatszego miasta Pendorum.

Początkowo jednak, na ulicach skąpo oświetlanych zapalonymi pochodniami, nie dostrzegam ani przesadnego przepychu, ani ponad przeciętnego splendoru. Za to pod ciemnoczerwonymi murami kamienic mieszkalnych zauważam wyuzdane kobiety w pstrokatych strojach. Ostentacyjnie ściągają one sobie dekolt sukni, aby ordynarnie pomachać obnażonym biustem i krzyknąć ku mnie coś o skromnej zapłacie za ich niewątpliwe wdzięki. Dalej mijamy grupę obszarpanych oprychów o zakazanych gębach i bezzębnych, krzywych półuśmiechach. Aż wreszcie napotykam nieznośnie licznych żebraków w żalonych łachmanach.

Z tą chwilą do mnie oraz Hamri co raz wyciągane są drżące ręce opatulonych, dygocących z zimna ludzi, gdzie niektórzy pozbawieni są dłoni lub ust. Inni z proszących o jałmużnę są dla odmiany niemal nadzy, jedynie w znoszonych przepaskach biodrowych, a ich ciała pokrywają gęsto

czerwone czyraki. Ponadto nie brak tu karłów czy osób z tak wiotką budową ciała, iż wydaje się, że może powalić je byle podmuch wiatru.

Wielka mistrzyni niestrudzenie rzuca ku tym zabiedzonym postaciom monety, na które łachmaniarze skaczą łapczywie, nieraz staczając ze sobą brutalną walkę. Ja z kolei opuszczam się w siodle naprawdę skonsternowany, uświadomiwszy sobie z bólem, że jestem właśnie świadkiem realizującej się klątwy zesłanej na Pendorum przez moją własną matkę. I tak jak od zawsze jednoznacznie hołubię mą rodzicielkę i wychwalam jej boskie imię, tak teraz momentami się zastanawiam, czy nie była ona raczej niepoczytalną wariatką, która posmakowała nadmiaru władzy. Nagle bowiem dociera do mnie, że na przestrzeni tysięcy lat na całym kontynencie narodziły się za swe przewiny nieprzeliczone rzesze cierpiących kalek. I nadal ma to miejsce. Ponadto ja sam przebywając już dłuższy czas w tym świecie, doskonale rozumiem, iż nie sposób jest w nim egzystować, jako całkowicie święta osoba. To okrutny świat, który pochłania człowieka i nie pozwala mu kroczyć swymi drogami zupełnie bez grzechu. Zresztą sama Anera musiała doświadczać podobnych myśli, gdy jako w pełni ludzka istota co raz odradzała się ułomna i nigdy nie była w stanie przejść przez życie, jako nieskalana istota. Zaś co też spotyka ją obecnie? Czy w swym teraźniejszym żywocie odrodziła się gdzieś bez dłoni za zabicie w zemście cesarzowej Tiry? – zastanawiam się nad tym, kiedy to Hamri wskazuje mi ręką skromną gospodę niemal całkiem zbudowaną jedynie z drewna. Na co nieco markotnie zapytuję:

– Naprawdę nie stać nas w tym wielkim mieście na coś znośniejszego i godniejszego zarazem...?

– Otóż już nie – odpowiada rezolutnie zakonniczka i wymownie potrząsa niemal pustą sakiewką, z której dopiero co wyrzuciła w tłum kalek prawie cały posiadany przez nas majątek.

– Teraz rozumiem, czemu omijamy bogatsze dzielnice miasta... To dla nas za wysokie progi... – oznajmiam smętnie i daję się poprowadzić Hamri do stajni graniczącej z tawerną pod zaszczytną nazwą „Lwia Paszcza”.

Przekraczając progi... Lwiej Paszczy, na wspomnienie zewnętrznej prezentacji tego przybytku przez chwilę czuję się dość niepewnie. Ale o dziwo wewnątrz wydaje się całkiem znośnym gniazdkiem, jak na tawernę w

stolicy królestwa Saladior przystało. Za barem, gdzie dumnie prezentuje się na półkach całkiem bogata kolekcja butelek z trunkami, stoi wąsaty karczmarz i ochoczo macha do nas ścierką. Zmierzamy w jego kierunku, a po drodze mijamy nawet niezniszczone i całkiem czyste dębowe ławy, za którymi zasiadają nieliczni, senni bywalcy tego miejsca. Ponadto tu i ówdzie ściany zdobią czerwone płachty z wizerunkami lwich łbów, a koło samego karczmarza zauważam najprawdziwsze, lwie popiersie chyba z samego marmuru.

Pokrzepiony takim widokiem, ja, sam wódz Allearów, wybraniec, już niebawem zmierzam na pierwsze piętro, gdzie Hamri wynajmuje dla nas pokój. A jak się zaraz okazuje, nasza klitka, chociaż całkiem przytulna, to zawiera w sobie jeden zasadniczy mankament. Mianowicie na wyposażeniu jest tu tylko jedno, małe łóżko z przeznaczeniem wyłącznie dla samotnej osoby i to raczej drobnej osoby. Chyba że ułożyłoby się jedną postać na drugiej... – Spoglądam odkrywczo na Hamri, oceniając jej urodę. Jednakże pomny swego majestatu, kurtuazyjnie oświadczam:

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... Żaby ty i ja... Choć z drugiej strony...

W tym czasie podróżująca ze mną kobieta, całkiem ładna, choć w wieku Viri, jak gdyby nigdy nic zdejmuje swoją szarą suknię. Aż naraz zastyga z zakrywającym ją do połowy ubiorem i zerkając na mnie, uprzejmie oznajmia:

– Nie myśl sobie za wiele, młodzieńcze, ze zbytnią słabością do kobiet. Tej nocy śpisz na podłodze, ustępując łoża, jak przystało, damie.

– Ale... – Odwracam raptem wzrok od biustu zakonniczki i z pewną pretensją dodaję: – Naprawdę nie stać nas było przynajmniej na większe łóżko, gdzie koło siebie zmieścilibyśmy się oboje?

– Nie – ucina dyskusję kobieta. Kończy zdejmować suknię, pozostając jedynie w dwóch białych przepaskach i kładzie się na łóżko, przykrywając dokładnie kołdrą. – Nocy pełnej świetlistych snów, życzę – rzuca pogodnie na dobranoc i odkręca się ku mnie tyłem.

Wobec takiej sytuacji z naszym kwaterunkiem dochodzę do wniosku, że wcale nie spieszy mi się z ułożeniem ciała do snu na drewnianych deskach podłogi. Postanawiam więc skorzystać z tego, że jestem w wielkim mieście,

a ponadto bez kajdan na nogach, jak w Etos i raptem pragnę udać się na poszukiwanie nocnych wrażeń.

Schodzę ochoczo po schodach na parter do głównej sali w tawernie. I już zamierzam skierować się do wyjściowych drzwi, kiedy przystaję wyraźnie zaintrygowany. Oto przy jednym ze stolików zasiada samotnie kobieta. Jednak to, co ją tutaj wyróżnia, zresztą nie tylko tutaj, to dość ciemny kolor skóry i rysy twarzy przypominające nieco moją Nail.

Zatem błyskawicznie dochodzę do wniosku, że właśnie znajduję swoją nocną atrakcję, z którą czym prędzej pragnę nawiązać bezpośredni kontakt. Nie, bynajmniej nie po to, aby perfidnie uwieść ową, skąd inąd, całkiem ponętą damę. Po prostu z rozmowy z nią mam nadzieję wywnioskować coś więcej o samej Nail...

– Czy mogę...? – Wskazując miejsce naprzeciw, zwracam się do kobiety tak łagodnie oraz uprzejmie, jak tylko mnie na to stać. Zaś w odpowiedzi otrzymuję jedynie surowy wyraz twarzy i przeczące pokręcenie głową. – Nalegam... – nie ustępuję. Na co zasiadająca za ławą postać, mierzy mnie dłuższy czas wzrokiem, aż wzrusza obojętnie ramionami. Rozgląda się jeszcze uważnie na boki i czyni leniwy ruch ręką w stronę pożądanego przeze mnie miejsca. Zajmuję je ochoczo, po czym spoglądając prosto w ciemną, kobiecą twarz z hebanowymi oczyma, dość płaskim nosem oraz czarnymi lokami zsuwającymi się na czoło, niby od niechcienia zagaduję:

– Jak tam smakuje piwo rodem z królestwa Saladior...? – Wychyliam się nad blatem ławy, zaglądając niedyskretnie do kufla kobiety ze złocącym się trunkiem i ciągnę dalej: – Domniemam, że to dość egzotyczny smak dla kogoś o tak nietypowej urodzie, kto zapewne nie pochodzi stąd...

– Jesteś kolejnym żigolakiem? – mruczy bez wyrazu kobieta z bardzo nietypowym akcentem. – Jeżeli tak, to nic z tego nie będzie, nie szukam męskiego towarzystwa – mówi i jakby do samej siebie dodaje: – W ogóle nie szukam towarzystwa...

– Zatem czemu zawdzięczam sobie ten zaszczyt, zaprosin mej skromnej osoby do stolika...? – Wysoko unoszę brwi. Na co kobieta, tym razem z nutą zainteresowania, odpowiada:

– Twoje włosy...

– Co z nimi...? – zaciekawiam się, przyglądając kucyk związany w niezbyt długi warkocz.

– Są rude... Twoje włosy są rude – stwierdza moja rozmówczyni.

– Fakt, to dość nietypowe... – wyrażam słuszną opinię.

– Tak, wyjątkowe. Moja pani nosiła podobne włosy... – Kobieta zaraz w zadumie się poprawia: – Być może ciągle ją zdobią, jeżeli nadal żyje...

Tym wyznaniem postać naprzeciw autentycznie mnie zaciekawia, dlatego zapytuję:

– Możesz zdradzić mi coś więcej o krainie, z której pochodzisz, tobie samej oraz o twojej pani...?

– Niby czemu miałabym to zrobić? – Kobieta odgradza się ode mnie kuflem piwa uniesionym na wysokość swych ust. Ja z kolei, na ile potrafię, kuszę:

– Odwdzięczę się... Jeszcze nie wiem kiedy, nie wiem jak. Ale zaspokój mą ciekawość, a także będziesz mogła na mnie liczyć...

Po tych słowach osoba z naprzeciwka przygląda mi się uważniej, zupełnie jakby szacowała moją wartość. Bierze z kufła większy łyk i przętykając, krzywi się nieco na twarzy. Następnie odkłada na blat naczynie z piwem i niespiesznie zaczyna snuć swoją opowieść:

– Narodziłam się na odległym kontynencie zwanym Nelorum, jako córka pałacowej służki. I kiedy dorosłam, przejęłam profesję mej matki. Stałam się osobą najbliższą mej pani, samej następczyni tronu pewnej niewielkiej krainy.

– Jaka była dla ciebie twoja pani...? – wtrącam.

Kącik ust kobiety unosi się do góry i tym pytaniem po raz pierwszy wzbudzam jej szczery uśmiech. Ona zaś z uczuciem odpowiada:

– Moją panią darzyłam każdym rodzajem miłości, a ona mnie. Tak przynajmniej sądzę... A była moja królowa ucieleśnieniem wszelakich cnót oraz samej dobroci i to dla każdej istoty, nie tylko dla mnie... – Naraz osoba naprzeciw mnie poważnieje i już smętnie kontynuuje: – Potem do naszej krainy przyszła nieubłagana wojna, która od dziesięcioleci rozlewała się coraz bardziej po całym kontynencie. Rozniecali ją obcy przybysze, ludzie podobni do siebie, jak krople wody o płowych włosach i w szarych

mundurach. Tak liczni niczym mrówki w mrowisku, a każdy z nich z grzmiącym kijem, którego huk niechybnie niesie śmierć. – Na te wyznanie przypominam sobie śmiertelne pistolety Viri i z rosnącą uwagą słucham dalej: – W końcu i kraina mej pani została wciągnięta do straceńczej walki. Wtedy ja sama chciałam pomóc, ale... – Głos kobiety się załamuje: – Chciałam dobrze, naprawdę dobrze, lecz wszystko poszło z mojej winy źle, bardzo źle. Z powodu własnej głupoty oraz ignorancji przywiodłam wiele osób do zguby i zapewne ściągnęłam ostateczną zagładę zarówno na mą panią, jak i jej krainę... Choć tego do końca nie wiem, bowiem zostałam wygnana i tułając się po morzach i oceanach, dotarłam w końcu właśnie tutaj. A dotarłam w naiwnej nadziei, że na drugim krańcu świata nie będę wreszcie ścigana przez własne sumienie i ludzi, którzy wciąż pragną mej krzywdy, by mnie ukarać... Ot, cała moja historia... – kończy gorzko i ponownie macza usta w gorzkim, złocistym trunku.

– Często pragniemy dobra dla siebie i innych, sprowadzając powszechne zło i cierpienie. Sam tego już doświadczyłem... – oznajmiam filozoficznie z zadumą.

– Pewnie tak – odpowiada kobieta, która po chwilowej wylewności szybko powraca do wyzutego z emocji sposobu bycia. Natomiast ja, myśląc o Nail, zapytuję:

– Jak miała na imię wspomniana kraina twej pani...?

– Wyspa Czarnego Piasku – pada zaskakująca, ale jak najbardziej pożądana przeze mnie odpowiedź. Dlatego zaraz spinam się w sobie i siadam prosto, jakbym połknął kij od szczotki. Z trudem staram się zachować naturalnie, ale najwyraźniej mi to niezbyt wychodzi, bo kobieta przygląda mi się obecnie dość podejrzliwie.

– Wszystko w porządku...? – wyraża udawaną troskę.

– Tak, chyba tak – odpowiadam i nie zwlekam dłużej z kluczowym dla mnie pytaniem: – Zdradź mi, proszę, jakie to szlachetne imię nosiła twa pani...?

– Po co ci ta wiedza...?

– Proszę, powiedz...

– A naprawdę odwdzięczysz się tak, jak zapowiadałeś...? – zapytuje bez wiary kobieta. Na co uderzam się pięścią w tors i z wielką pewnością siebie wypalam:

– Przysięgam, masz moje słowo.

– Dobrze, zatem... – Moja rozmówczyni uśmiecha się lekko. – Ma pani nosiła imię, o ironio losu, na cześć przeklętej Bogini z tegoż kontynentu. Ma pani nazywała się Anrea...

Po tym wyznaniu czuję się, zupełnie jakbym otrzymał uderzenie obuchem w łeb. W jakiś niezrozumiały sposób spodziewałem się usłyszeć, że wspomnianą panią osoby naprzeciw była sama Nail. Lecz przecież dorastała ona na pokładzie pirackiego okrętu, więc to oczywiście niemożliwe. Jednakże dla odmiany skoro władczynią z daleka miałyby być postać o imieniu mej matki to... zaraz zadaję jeszcze jedno pytanie:

– Twoja pani, jeżeli żyje... Ile miałaby teraz lat...?

– Dwadzieścia trzy – pada przesywająca me serce mrozem odpowiedź. Albowiem wiele okoliczności raptem wskazuje na to, że prawdopodobnie mam przed sobą osobę, która zna z obecnego wcielenia moją własną matkę! Co więcej, słyszę, że moja rodzicielka na ten czas, jeżeli wciąż żyje, jest w poważnych opałach.

Po zasłyszanych rewelacjach spoglądam osowiały na ciemnoskórą kobietę. Ona dopija piwo i wstaje najwyraźniej z zamiarem wyjścia. Na co rzucam do niej nerwowo:

– Zaklinam, nie odchodź. Jak powiedziałem, będziesz miała we mnie swego dłużnika, ale muszę... po prostu muszę jeszcze z tobą porozmawiać.

– Dłużnika powiadasz...? – Patrzy na mnie kpiąco.

– Ależ przysięgam, zrobię, co tylko zechcesz.

– A... zabijesz dla mnie kogoś...? – Drwiący wyraz twarzy kobiety jeszcze się pogłębia. Ja z kolei na tę niecodzienną sugestię, ciągle myśląc o matce, odpowiadam wbrew sobie, ale twierdząco:

– Tak, zabiję, tylko zostań...

– Mówisz poważnie...? – Kobieta wchodzi w stan prawdziwego zdumienia.

– Mówię ze wszech miar poważnie jak nigdy w życiu. – Kładę dłoń na rękoejści jednego z krótkich mieczy. Wobec tego postać naprzeciw spogląda na mnie trochę niczym na szaleńca. Ale zaraz wzrusza ramionami i ponownie zasiada za ławą, po czym z nutą sprytu w głosie przemawia:

– Posłuchaj zatem... Niebawem pojawi się w tej tawernie mężczyzna. Podejdzie on do mnie i razem wyjdziemy na ulicę. Wtedy idź za nami i po prostu go zabij... Wówczas każda wiedza, jaką posiadam, będzie twoja. A wiem to i owo, zapewniam... I to o rozlicznych krainach, ich władcach czy bóstwach. Co ty na to...?

– Umowa stoi.

– Doskonale... – Uśmiecha się z satysfakcją kobieta. – Więc oddal się na stosowną odległość. Na przykład do karczmarza i nawiąż z nim swobodną rozmowę. Musisz być w pobliżu, a ja muszę być tutaj sama, aby nie wzbudzać podejrzeń i zwabić do mnie wspomnianego mężczyznę, mego dręczyciela, a przyszłego trupa...

– Niech tak będzie... – Wstaję od ławy i kieruję się z wolna do wąsatego karczmarza. Na miejscu opieram się rękoma o blat baru i ustawiam w taki sposób, aby cały czas mieć poznaną kobietę na oku. Następnie, starając się opanować podniecenie zaistniałą sytuacją, możliwie naturalnym głosem zwracam się do mężczyzny za barem:

– Piwo, proszę...

– Jakie? – zapytuje ochoczo.

– Najtańsze... – stwierdzam pomny posiadanego obecnie przeze mnie i Hamri majątku. Na co karczmarz mierzy mnie krytycznym wzrokiem. Ale zaraz, jak na profesjonalistę przystało, ozdabia swą twarz wymuszonym, choć przesadnie szerokim uśmiechem i jeszcze podpytuje:

– Co do piwa...?

– Wieści... wieści z Pendorum... – Wybieram zdecydowanie najtańszą opcję z możliwej oferty. Wbijam wzrok w ciemnoskórą kobietę, byłą służkę Anrei i popijając najtańsze, serwowane tu popłuczyny, wsłuchuję się w obojętny głos karczmarza:

– Pendorum, ta... – Wyciera on ścierką kufel do piwa. – Cóż, zacny panie... Kraina powoli dogorywa, chociaż ostatnimi czasy, prawdę

powiedziawszy, dogorywa ona coraz szybciej, ta... Uzurpatorzy arogancko podnoszą głowy, jak choćby ta szalona kobieta jarl, Albina, z konfederacji. Do tego powszechnie podupada handel, plony marnieją, a bydło jakieś takie niewydarzone. Ponadto na kontynent przybywają liczni najemnicy zwabieni widmem rychłych wojen. Zaś zbrojne bandy na drogach grasują, jak chcą i mnożą się niczym króliki z Favere. Za to ludzie w swym strachu mnożą się coraz mniej chętnie i z tego powodu coraz bardziej ich na kontynencie ubywa. To znaczy jest jeszcze oczywiście istotniejszy powód ubytku populacji... – Karczmarz krytycznie wpatruje się w wyczyszczony przez siebie kufel, po czym poleruje go dalej i kontynuuje wątek: – Otóż zarówno z księstwa Razzinal, jak i cesarstwa Terraticos, władztw zajętych przez okrutnych Bogów. – Spluwa siarczyście na kufel. – Napływają do nas zatrważające wieści. Ponoć sam Arezar nieustannie pławi się w ludzkiej krwi. Posiada on w pałacowej łaźni basen, który co ranka jest napełniany świeżą, czerwoną cieczą pochodzącą z zamordowanych obywateli cesarstwa. Natomiast jego półzwierzęcy pretorianie gustują podobno w ludzkim mięsie tak samo, jak trupie amazonki na usługach krwawego Boga. Przez to ulice tamtejszych miast stają się coraz bardziej wyludnione, wszelkie aktywności ludności zamierają, a zastępuje je jedynie paralizujący strach. Nawet do Koloseum nikt już nie raczy uczęszczać odkąd podczas igrzysk Arezar zagnał część widowni wprost na arenę i rozkazał jej toczyć ze sobą walkę na śmierć i życie. Z tysiąca biedaków miał ocaleć tylko jeden szczęśliwiec! Z kolei w Razzinal nie gorzej poczynają sobie Harremid... – Karczmarz spluwa na inny kufel i teraz on doczeka się energicznego pocierania zaślinioną szmatką. – Zatem wspomniana Bogini miłości – ciągnie mężczyzna: – zaprawdę daleka jest od swego pierwotnego posłannictwa. W całym księstwie rozdziela ona wszystkie rodziny, mężczyzn od kobiet. Tworzy haremy i obozy pracy, z których korzystają jedynie jej wynaturzone ludzkie łanie oraz wodzowie przeklętych Isików. Oj biada dosięgła wielkie, mroźne księstwo. A to zapewne dopiero początek ziszczającej się w Pendorum katastrofy. Wieści niosą, że następny z synów przeklętej Anrei i Abezzala. – Jeszcze jedno splunięcie. – Sam Avenedor już zmierza na nasz ukochany Saladior na czele Jeźdźców Majanu, aby nas tu zniewolić. I nie oszukujmy się jego bracia Gragezon oraz Biramond wkrótce także upomną się o swe dziedzictwo. Biada Pendorum... – kończy dramatycznie karczmarz i rozgląda się wokół siebie

za swym wiernym słuchaczem, czyli mną samym. Ja jednak właśnie dziarsko ruszam w kierunku drzwi wyjściowych, za którymi dopiero co znika ciemnoskóra kobieta wspólnie z nieznanym mi mężczyzną w czerni. Co zaś ciekawe, krojem, jego ubiór odpowiada nieco męskiej wersji odzienia Viri

Na zewnątrz Lwiej Paszczy kroczę zdecydowanie za namierzoną przez siebie parą. Ta porusza się równym, sprężystym krokiem i o czymś zawzięcie dyskutuje, aż można by pomyśleć, że się kłóci ze sobą. Lecz to bynajmniej nie moje zmartwienie. Oto mogę zaraz odnaleźć drogę do mojej matki, a być może dowiedzieć się czegoś więcej na temat Nail, przynajmniej jej pochodzenia. Muszę jedynie zabić mężczyznę przede mną. Zaiste drobnostka.

Snując takie rozważania, poprawiam ułożenie rękojeści krótkich mieczy w pochwach przy pasie. A zbliżając się do mej przyszłej ofiary, w wyobraźni już widzę, jak z łatwością pozbawiam ją życia. Zamaszystym uderzeniem klingą w kark przecinam kręgosłup i po sprawie. Albo też popisuję się przed ciemnoskórą damą i wprowadzam czubek ostrza przez plecy w samo serce. To również byłaby szybka, skuteczna i całkiem widowiskowa śmierć. Może jednak... – kombinuję dalej, gdy raptem mężczyzna w czerni czyni gwałtowny piruet. Wyciąga w moim kierunku wyprostowaną rękę i mierzy w moją twarz z broni do złudzenia przypominającej pierwotne pistolety Viri.

W tej sytuacji zastygam zszokowany, znając śmiertelność moc tajemniczego oręża przede mną. Niewinnie rozpościeram ramiona, ukazując puste dłonie. A wtedy pada zdecydowany, męski głos:

– Ona musi odpokutować, aby oczyścić swe winy. Lecz skoro wmieszaleś się w to, człeku, wybac mi, albowiem musisz zginąć...

W odpowiedzi jedynie szeroko otwieram usta, pragnąc coś powiedzieć na swoją obronę, cokolwiek, co pozwoli mi zachować życie albo przynajmniej zyskać na czasie.

Niespodziewanie w tym momencie ciemnoskóra kobieta rzuca się na mężczyznę w czerni. Ten wypala, ale pod wpływem kobiecego nacisku na swe ramię chybia i osobiście czuję od wystrzału tylko silny podmuch na

skórze policzka. A skoro nadal żyję, to nie omieszkam zrobić z mojego życia odpowiedni użytek, odbierając istnienie komuś innemu.

Przeto dobywam jedno z krótkich ostrzy i podskakuję do mężczyzny. Ten mocuje się z kobietą, a w chwili, gdy go dopadam, rozcinając mu gardło, pada jeszcze jeden strzał.

W odpowiedzi kulę się odruchowo i z przestachem spoglądam na własną sylwetkę. Na szczęście nie dostrzegam ani nie czuję odniesionej rany. Tę jednak widocznie otrzymuje ciemnoskóra kobieta, bo razem z konającym mężczyzną osuwa się ona po ścianie kamienicy na brukowany chodnik.

Czym prędzej kucam przy niej i chwytam w ramiona. A zaraz krzywię się na twarzy, dostrzegając na kobiecej klatce piersiowej powiększającą się czerwoną plamę na szarym materiale sukni. Potem dołącza do obrazu konającej kobiety strużka krwi spływająca jej z ust.

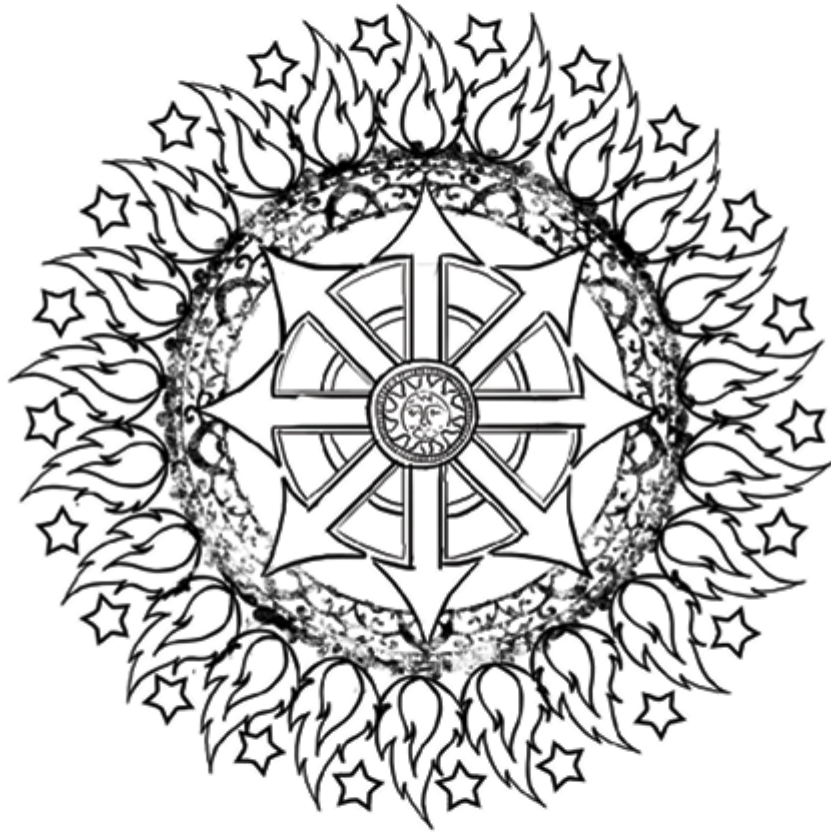
W tym momencie już wiem, że z tego niezwykłego spotkania moim udziałem nie staną się żadne nowe spektakularne wiadomości. Za to staję się świadkiem dwóch śmierci nieznanymi mi osób i tragicznego finału łączącej ich, nieznaną mi historii.

Widzę jak mężczyzna w czerni obejmuje się za gardło i wykrwawiając, z uczuciem spogląda na ciemnoskórą kobietę. Ona odwzajemnia mu tęskne spojrzenie i z trudem szepcze do niego:

– Kochałam ją i kochałam ciebie... Ale przekleństwo Nelorum dosięgło i nas... A teraz rozpływamy się w nicości... Taki widocznie przewidziany nam gorzki los... Ale ja sama wybaczam, wybaczam wszystkim i wszystko... tak...

Tej nocy nie powracam do pokoju Hamri tylko włóczę się bez celu uliczkami miasta, nieustannie odczuwając jakąś niewygodę. I z całą siłą uświadamiam sobie, iż pochodzi ona z niepokoju ducha. Dociera do mnie, że na rozlicznych kontynentach i nieznanymi krainami krążą od zawsze ludzie oraz Bogowie, a także półboskie istoty. Kochają się one i nienawidzą, a czasem potrafią wznieść się wyżej i sobie wybaczyć. Tak oto w historii świata zapisują się wielkie tragedie, ale też powstają najcudowniejsze chwile warte upamiętnienia i niejednej pieśni na ich temat.

Zaś ja sam, moim życiem, do czego przysłużę się światu, co za moją sprawą na nim pozostawię? Nie wiem tego, ale pragnę się przynajmniej ludzi, iż ja również wykrzeszę z siebie coś więcej. Dlatego szczerze i ze wszech miar naprawdę pragnę skoncentrować się na dobru Pendorum, w duchu mej matki, by z całych sił zawalczyć o ocalenie tej krwawiącej krainy. A w przyszłości kto wie, być może przyniosę ulgę też innym kontynentom, gdzie ludzie żyją i cierpią, a ich szczęście rujnuje własna słabość, okrutny los bądź cudze, bezwzględne działanie. Taki właśnie pragnąłbym wyznaczyć memu życiu ostateczny cel.



V. TWIERDZA

Po powrocie nad ranem do Hamri na jej pytanie o to, jak spędziłem noc, zbywam ją słowami, że wynudziłem się jak mops, słuchając głądzącego karczmarza. Kobieta odwzajemnia mi beztroski uśmiech i niebawem opuszczamy wielkie miasto, stolicę królestwa Saladior. Następnie zmierzamy niestrudzenie prosto do ostatecznego celu naszej podróży.

Natomiast tuż po przekroczeniu bram najokazalszej z królewskim twierdzą, Harenson, gdzie spodziewamy się spotkać z królem, jak gdyby nigdy nic zostajemy rozbrojeni i aresztowani. Potem jesteśmy osadzeni w ciemnym, cuchnącym lochu na samym szczycie jednej z wież i tak też się kończą nasze marzenia o sojuszu i honorowej walce u boku królewskich zastępów. Zamiast tego doświadczamy z całym trudem bolesnego losu wzgardzonych więźniów.

Dowiadujemy się bowiem, że król Reward rzeczywiście rezyduje w tej twierdzy, jako swym najbezpieczniejszym schronieniem w obecnych, niespokojnych czasach. Jednakże za naszymi plecami zawarł on ponoć pakt z samym Avenedorem, który to ma ominąć jego królestwo, a ruszyć wprost na siedziby Allearów. A skoro tak, to dla monarchy tegoż władztwa stanowimy na ten czas jedynie kłopot, który najlepiej schować skrzętnie przed całym światem w ciemnym lochu.

Szybko się niestety okazuje, że sytuacja moja oraz Hamri jest więcej niż zła, wręcz tragiczna. Nie dość, że nie mamy zupełnie żadnych realnych widoków na uwolnienie, to jako więźniowie jesteśmy traktowani skrajnie źle. W naszej celi jest tylko jedno, małe zakratowane okno, dodatkowo od północnej strony. I to stamtąd dociera do nas całe skąpe światło w ciągu dnia. Z kolei w nocy cierpimy nie tylko całkowitą ciemność, ale też przemożny chłód. A nie możemy się w żaden sposób rozgrzać, ponieważ nieustannie jesteśmy przykuci do zimnego muru za szyję, ręce i nogi. Ponadto z powodu niezwykle krótkich łańcuchów nie dajemy rady nawet

zmienić naszych pozycji i tylko siedzimy, nieważne na jawie czy we śnie. I tak, jak siedzimy, załatwiamy się pod siebie, spędzając ponury czas w oparach własnych odchodów. Raz dziennie odwiedza celę starucha z maską na ustach i nosie, po czym wlewa nam do gardeł cieką zupę. Raz na tydzień zgarnia ona do wiadra to, co z siebie wydalamy. I to wszystko, nie pozostaje nam nic innego poza pozbawionym nadziei oczekiwaniem. Zaś jedyne czym możemy wypełniać sobie czas, to nasze wspólne rozmowy.

– Więc nigdy nie poznałaś swoich rodziców i jako dziecko byłaś żebraczką na ulicach Orizzo... – powtarzam na głos zdarzenia, zasłyszane z opowieści zakonnicy. W ten sposób dyskusja może trwać dłużej i przybliżyć nas do zaznania jedyne go możliwego ukojenia, czyli kolejnego snu.

– Tak właśnie było... – przytakuje Hamri. – I pewnego dnia z ulicy zabrała mnie kobieta, wielka mistrzyni Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani. Dała mi odzienie, strawę i dach nad głową, a niebawem przyjęła nawet w poczet zakonu.

– Zaczyna kobiecina... – stwierdzam.

– Nie do końca – mówi z ciężkością w głosie Hamri. – W tym świecie ciężko jest dostać coś za darmo, cokolwiek, więc i ja musiałam się odpowiednio zasłużyć, aby spłacić dług.

– Zostałaś służącą...?

– Dość specyficzną...

– To znaczy...? – Marszczę brwi.

– Wiesz zapewne, że w zakonie srebrzystej łani zabroniony jest kontakt z mężczyznami.

– Tak...

– Właśnie i niektóre zakonnice rekompensują ten brak, wchodząc po kryjomu w związki fizyczne między sobą. Zatem tak... musiałam odpowiednio dogadzać wielkiej mistrzyni... tej starej raszpli z obwisłymi cymbalami... Musiałam całować jej pomarszczony tyłek i to dosłownie...

– Współczuję ci... – wyznaję szczerze.

– Nie ma czego – odpowiada hardo Hamri. – To przeszłość, która nie ma już nade mną władzy. Słowem niektórzy mają grubą skórę i dawna krzywda

się ich nie ima. Potrafią zapomnieć, a nawet wybaczyć.

– Więc uważasz, że twoja trudna przeszłość cię nie zniszczyła, jako osoby...?

– Uważam, że zniszczyłaby wiele osób, które po doznanych krzywdach sprowadzałyby na świat jeszcze większe cierpienie. Ja jednak zawsze potrafiłam spojrzeć dalej i iść zupełnie w inną stronę. Dlatego, zamiast odreagowywać na ludziach doznane zło, zapragnęłam dla nich dobra, tego, aby nie musieli przechodzić przez koszmar, jaki mi samej został zafundowany. Tak więc miałam wybór i dokonałam go.

– Wybrałaś światło... – zauważam.

– Oczywiście i nigdy tego nie żałowałam.

– Teraz także nie...? Po tym, jak nas podle oszukano, perfidnie zdradzono...?

– Król tego władztwa sprzeniewierzył się wszystkim wartościom Saladior i zasługuje wyłącznie na śmierć. Ale ja nie muszę być tą, która wymierzy mu sprawiedliwą karę. W końcu i tak zabierze go śmierć, jak każdego z nas. My zaś sami uczyniliśmy to, co musieliśmy uczynić, aby zachować honor i nie zboczyć ze świetlistej ścieżki. Słowem postąpiliśmy słusznie.

– Słusznie, ale jak głupcy... – pojękuję.

– Niech więc będą słuszni głupcy, zgoda – oznajmia pojednawczo Hamri. Ja sam ciągnę temat i w zamyśleniu zapytuję:

– A moja matka podczas swego ostatniego żywota? Jak ona twoim zdaniem postąpiła? Mądrze czy głupio? Właściwie czy też nie? Bo wiele osób oskarża ją o to, że zawiodła...

– A jak ty myślisz...?

– Nie wiem... Osobiście to moja matka. Dlatego z góry wybaczam jej, jeżeli uczyniła źle. Nie potrafię jednak spojrzeć na jej czyny z szerszej perspektywy, obiektywnie...

– I nie musisz – odpowiada swobodnie Hamri. – Taka czy inna perspektywa tylko zafałszuje ci przed oczyma prawdę, która i tak jest nieuchwytna.

– Nieuchwytna...?

– Tak, ostatecznie zawsze nieodgadniona.

– Nie rozumiem... – wyrażam wątpliwość, a Hamri wyjaśnia. Lubię słuchać jej łagodnego głosu:

– Twoja matka zabiła okrutną cesarzową Tirę w zemście, zaprzepaszczając tym samym zjednoczenie przez siebie Pendorum, klątwa zwyciężyła. Lecz zadajmy sobie pytanie, co by było, gdyby Anrea nie uśmierciła cesarzowej, albo – co więcej – w ogóle nie interweniowała w bitwie? Być może i tak nie zjednoczyłyby wtedy Pendorum, a krainą zawładnęłyby wielka tyrania. Natomiast na świat nie przyszedłby ktoś tak interesujący i wyjątkowy jak ty...

– Dziękuję... – odpowiadam nieskromnie i dodaję: – Nie patrzyłem na tę historię nigdy z takiej strony i to ciekawe spostrzeżenia, nie powiem.

– Cała przyjemność po moje stronie, Avezanie, przyszły władco zjednoczonego kontynentu Pendorum – mówi, jak najbardziej uprzejmie wielka mistrzyni. Gdy naraz otwierają się ciężkie, drewniane drzwi i skrzypią w nich zardzewiałe zasuwki. Następnie do pomieszczenia wchodzi trzech strażników, czego nie widzieliśmy od początku naszego uwięzienia. Podchodzą do Hamri i bez słowa odkuwają ją z łańcuchów.

– Dokąd ją zabieracie...? – zapytuję, wodząc wzrokiem po zanurzonych w mroku sylwetkach, a wobec braku reakcji strażników, powarkuję: – Coś do was powiedziałem! – Nagle dosięga mnie uderzenie pięścią w twarz, po którym czuję smak krwi w ustach z głęboko rozciętej o zęby wargi. Potem dochodzą mnie lubieżnie wypowiedane słowa mężczyzny:

– Nasz wspaniały król gości w twierdzy swego brata z chanatu Precis. A że jest to niespodziewana wizyta i zabrakło okolicznych dziwek na dworze, to zbieramy po celach, co się da... Umyjemy więźniarki i coś z nich będzie może i dla nas, ha! – Spluwa mi siarczyście w twarz, po czym nie mija chwila i strażnicy wywlekają Hamri z celi, a ja zostaję sam.

Zostaję zupełnie sam przez kolejne trzy dni, aż zakonniczka powraca, wtaszczone bezwładnie do więziennego pomieszczenia i ponownie przykuta do dawnego miejsca. Jest akurat czas około południa, więc skąpe światło pozwala mi się jej nieco przyjrzeć. Lecz zaraz żałuję, iż to czynię. Jej obecne ubranie to jedynie porwane szmaty, przez które prześwituje

kobieca nagość. Całą twarz ma opuchniętą i niemiłosiernie posiniaczoną. Do tego szpeci ją złamany nos paskudnie przekrzywiony w jedną stronę, pod którym zastygły krwawe strupy.

Wobec tak koszmarnego widoku kobiety nie odzywam się, ponieważ nawet nie chcę słyszeć, przez co przeszła w ostatnich dniach. Jednakże niebawem to ona sama, mówiąc trochę jak we śnie, przemawia zamierającym głosem:

– To nie ich wina, nie wina ludzi... prostych ludzi z Saladior... Oni, jak i ci z innych władztw tradycyjnie cierpią jedynie z rąk możnowładców, tako cierpię i ja... Dlatego, Avezanie, walcz o zwykłych ludzi, zawsze o nich walcz całym sercem i z całych sił. Choć nie licz, że otrzymasz coś w zamian... Z kolei ostrza miecza używaj przeciw arystokracji, patrycjuszom i szlachcie... zdegenerowanych szubrawcom, których czas niestety jeszcze nie nadszedł, a którzy sądzą, że z racji posiadanej władzy to do nich należy cały świat. A nam tylko im się kłaniać i służyć sobą. – Po tych słowach Hamri jej broda opada bezradnie na klatkę piersiową. Lecz bynajmniej nie jest to koniec natchnionego przekazu zakonnicy. Ten, z jej popękanych ust, płynie już wkrótce dalej: – W rdzeniu zakonów pozostało to, co najlepsze na tym świecie, co niegdyś było doskonałe i czyste w świecie Bogów. I dlatego ciągle, nieustannie wierzę w nas... w ludzi zakonu. Wierzę w prawdziwą miłość, honor, waleczność, odwagę i świętość... Tylko te ideały nadają światu wartość i sens naszego istnienia w nim. I odbudujemy je, odbudujemy... Ty natomiast, Avezanie, jeżeli kiedykolwiek masz zdobyć prawdziwą władzę, już teraz musisz się wyzbyć wszelakich wątpliwości. Zaś w tobie samym muszą pozostać jedynie wspomniane miłość, walka, honor, siła i świętość w możliwie czystej postaci. Tak, tylko one w miejsce egoistycznych pragnień, które kuszą nas do złego złudzeniem spełnienia i wspaniałości. Tak, inne pragnienia są jedynie złudzeniami, Avezanie... Dlatego to prawdziwymi ideami musimy wypełnić nasze istnienie i wyłącznie nimi żyć...

Nastaje cisza, pośród której przyglądam się z ukosa kobiecie z autentycznym podziwem. Imponuje mi to, że mimo doznanych niemiłosiernych krzywd potrafi się ona wznieść ponad siebie samą niczym najjaśniejsza Bogini. Uświadamiam sobie, że jej serce, mimo że całkiem

ludzkie, jest o wiele czystsze i bardziej prawe od mojego, po części boskiego.

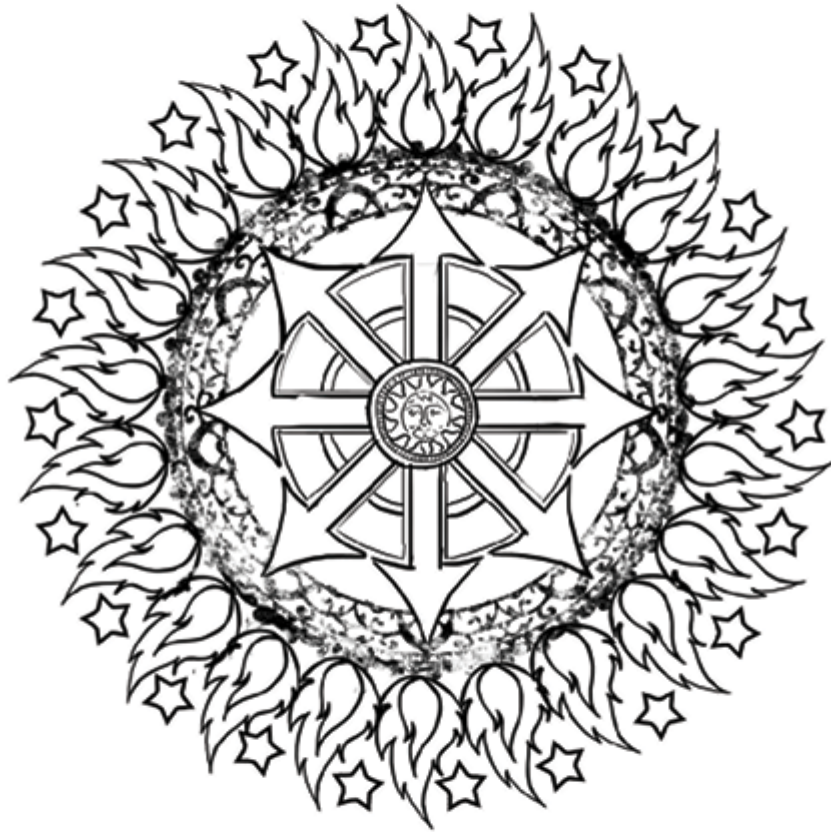
Choć w duchu nie przyznaję jej niestety całkiem racji. Na jej miejscu przeklinałbym niewątpliwie cały świat i marzył jedynie o tym, że staje on w wielkiej pożodze. Świat stacza się bowiem coraz bardziej i już o nas raczył zapomnieć. Boskie idee nieodzownie umierają, a razem z nimi my sami gnijemy na śmierć w tym przeklętym lochu.

Jednakże kolejny już raz, nie wiem który, jestem uczony pokory, kiedy to okazuje się, że moje wieszczzenie absolutnego końca nijak się ma do rzeczywistości. Oto pewnego dnia wraz z trójką strażników wchodzi do naszej celi niezwykle postawny mężczyzna i przynosi zupełnie spektakularne wieści. Mianowicie przedstawia się imieniem Agron oraz jako wielki mistrz zakazanego w królestwie Zakonu Buławy Czerwonego Lwa. A pojawia się tutaj, ponieważ wbrew paktowi z królem Rewardem Avenedor ruszył na czele swej hordy z Otchłani właśnie na królestwo Saladior. W związku z tym król w swym wielkim strachu szuka każdego możliwego sojusznika gotowego go wspomóc i oto przedstawiona zostaje nam propozycja nie do odrzucenia. Zakonne oddziały Hamri oraz Agrona mają stanąć na szpicy i zaatakować czołówkę wojsk Avenedora. Mają to uczynić pod moją wodzą oraz zakonniczki Hamri, natomiast wielki mistrz Zakonu Buławy Czerwonego Lwa sam, dobrowolnie, zajmie nasze miejsce w tym lochu, jako królewski zakładnik. Ponadto Agron zaklina nas, że absolutnie musimy się zgodzić i nie toleruje sprzeciwu, bowiem tu chodzi o resztki honoru królestwa i dobro jego mieszkańców, w których obronie wszyscy musimy stanąć do walki.

Zatem godzimy się, Agron zostaje przykuty do ściany, a ja z Hamri jesteśmy nagle zupełnie inaczej traktowani. Zostajemy zaprowadzeni do łaźni, należycie nakarmieni i odpowiednio ubrani. Potem odpoczywamy jeszcze pewien czas w przydzielonej nam komnacie. Nic tylko jemy, leżymy, to przeprowadzamy lekki trening, aby odzyskać sprawność oraz utraconą masę ciała. Aż wreszcie na rumakach wypuszczeni jesteśmy w samopas na wolność za bramy twierdzy Harensen. To doprawdy niewysłowiona ulga.

I tak oto całkiem niespodziewanie zmierzamy na mordercze starcie, gdzie walczyć mamy zarówno ze śmiertelnym wrogiem tej krainy, jak i o

jej honor. Ja jednak już się o to postaram, aby nie była to wyłącznie straceńcza, samobójcza szarża. A wręcz przeciwnie. Doskonale już bowiem rozumiem wzniosłe ideały zakonów, które to postaram się nosić w moim sercu, na zawsze i doprawdy głęboko. Lecz dla równowagi umysł dyktuje mi, że aby zwyciężyć przeciwności losu, należy unikać niepotrzebnej brawury, a posiłkować się sprytem. Tylko w ten sposób, mianowicie łącząc to, co najlepsze w sercu, jak i umyśle, można osiągać pożądany sukces z pomyślnością dla siebie i innych.



VI. BITWA

W połowie drogi między twierdzą Harensen, a stepami, z których wiedzie droga z Otchłani, napotyamy konne oddziały zakonnicek łuku i strzał oraz zakonników buławy. Odpowiednio trzydzieści kobiet i przeszło stu mężczyzn w miejscu, o którym wspominał wielki mistrz Agron. A jest to zakole niewielkiej rzeki w pobliżu sporej wioski.

Tutaj robimy sobie z Hamri dłuższy postój, ponieważ czas nas bardzo nie nagli. Minie go trochę, zanim zastępy Avenedora dotrą do granic królestwa Saladior. My natomiast ciągle jesteśmy mocno zabiedzeni po tygodniach spędzonych w celi w upodlających i urągających ludziom warunkach.

Dlatego też nie mamy skrupułów, w każdym razie ja ich nie mam i dla nas, jak i naszych ludzi rekwirujemy miejscowym wieśniakom bydło oraz ich plony. Pewnie nie jest to zbyt honorowe, również nie za bardzo światłe, ale ktoś musi w przyszłości walczyć o tych ludzi i do tego potrzebujemy sił, w tym po drodze pełnych żołądków.

Ponadto nakłaniam Hamri, aby wybrała zakonnicekę, która cechuje się wyjątkową wytrzymałością i sprawną jazdą konną. Otrzymuje ona rączego rumaka, a także dwa listy. Adresowane są do Larien oraz Ravela i niezwłocznie muszą zostać dostarczone. Jest to konieczne dla realizacji mego misternego planu, który w drodze do tego miejsca zdążył mi się już dostatecznie ukształtować w głowie. Następnie po kilku dniach wszyscy wyruszamy do wojskowego obozu, gdzie marszałek koronny zbiera zbrojne oddziały królewskich lordów.

Tym sposobem docieramy na pogranicze królestwa Saladior. Tutaj melduję komu trzeba naszą pełną gotowość do walki zgodnie z daną przez nas obietnicą królowi Rewardowi, swoją drogą przekłętemu sadyście i

notorycznemu kłamcy. I bynajmniej w przyszłości nie zamierzam pozostać mu dłużny.

Tymczasem mija czas, a do obozu zjeżdżają lordowie ze swymi wojskami oraz przybywają zwiadowcy informujący o postępach wojsk Avenedora. Te niebawem są już podobno tuż przed nami, wypuszczając przodem silny patrol konnych wojowników z głowami lwów.

Wobec tych wieści marszałek koronny zarządza wymarsz wojsk na upatrzone z góry dogodne pozycje. I tak za rzeką ustawia się w równym szyku liczna piechota halabardników. Ich flankę chroni ciężka jazda. Na wzgórzach pozycję zajmują szeregi łuczników. Natomiast nasza konnica zakonna jest ustawiona frontalnie już za rzeką i przodem do wroga, aby samobójczą szarżą sprowokować go do zmasowanego ataku.

Tak, to właśnie powierzone nam przez króla zadanie. W swym wielkim sprycie i geniuszu strategii wojennej pragnie on się nas bezwzględnie pozbyć. A przy okazji zamierza naszymi rękoma uśmiercić jak najwięcej swych nieprzyjaciół, kreując dodatkowo pomyślny początek bitwy.

Wobec tego zajmujemy wyznaczoną nam pozycję i czekamy w gotowości. Nieco po lewej stronie zakonnicy w srebrzystych zbrojach pod dowództwem Hamri. Ja sam przejmuję dowodzenie nad ustawioną w centrum jazdą Zakonu Buławy Czerwonego Lwa i muszę przyznać, że ta prezentuje się doprawdy imponująco.

Rumaki są dokładnie zakute w czerwoną stal. W podobnym kolorycie prezentowa jest pełna zbroja jeźdźców. Ich broń to niezbyt długie lance służące do przeprowadzania frontalnej szarży oraz niezwykle masywne buławy i tarcze do kontynuowania walki w zwarciu.

Co do samego planu naszego ataku, nie jest on zbyt wyrafinowany. To zmasowany szturm ławą ciężkiej konnicy czerwonego lwa, osłanianej na flance zaczepnym kłosań wroga przez zakonnicy srebrzystej łani. Obecnie zaś czekamy już tylko na pojawienie się przed nami przeciwników z przodu, a z tyłu na powiewającą w powietrzu królewską, czerwoną chorągiew – znak do rozpoczęcia przez nas ataku.

I oto są. Naprzeciw nas wyłania się ponad setka konnych wojowników z głowami lwów z potężnymi grzywami. Zmierzają oni na nas, będąc coraz bliżej i ukazując wszystkim żołnierzom w armii królestwa Saladior swe

posępne, półludzkie półzwierzęce oblicza. Wkrótce są już w zasięgu strzał zakonniczek, a pomimo to się nie zatrzymują.

Ja sam co raz zerkam za plecy i w pewnym momencie dostrzegam na wzgórzu łopocząca, czerwono-krwistą chorągiew – uzgodniony wcześniej znak. Tak więc spinam konia i wysuwam się przed szereg zakonników. Spoglądam jeszcze z ukosa na Hamri i kiwamy sobie porozumiewawczo głowami. Następnie unoszę pionowo rękę i gwałtownie ją opuszczam. Z tą chwilą blisko sto trzydzieści osób w zakonnych zbrojach, a ja wraz z nimi, rozpoczyna frontalną, morderczą szarżę.

– Za honor! – krzyczę gromko, aby każdy wokół mnie dobrze usłyszał, o co walczy. Choć tak naprawdę wcale nie jest to takie oczywiste.

*

– Niby to atak sławetnej konnicy samego Zakonu Buławy Czerwonego Lwa. Coś, przed czym powinniśmy pochylić czoła i spoglądać na to z zapartym tchem, a nawet klęknąć. Ale... zaiste, czy masz ochotę klęknąć, lordzie...? – mówi z powątpiewaniem mężczyzna siedzący w siodle i spogląda na swego druha także na koniu, po czym kontynuuje: – Właśnie... Mnie również daleko jest do zginania kolan na ów widok. Odnoszę raczej przemożne wrażenie, jakby to była jakaś błazenada, farsa... Toż oni galopują prosto na rzeź! – kończy z wyrzutem jeden z pary arystokratów w szeregach królestwa Saladior. Drugi, z całkiem siwymi włosami oraz równie siwą szpiczastą bródką i wąsami, spokojnie odpowiada:

– Nie wierzę, że to się tak skończy, koniec prastarego zakonu wraz ze straceńczą szarżą. W szczególności, że atakiem dowodzi niejaki Avezan.

– Avezan? Pierwszy słyszę... To ten rudy szaleniec gnający na samym przodzie z mieczem w dłoni...?

– A i owszem... – stwierdza z pewnym podziwem drugi lord.

– I co takiego miałby on niby wskórać, hm...? – wyraża wątpliwość pierwszy.

– Coś niezwykłego... bowiem ma w swoich żyłach boską krew samej mitycznej Anrei. Istoty, którą znałem za jej ostatniego żywota i którą podziwiałem, walcząc u jej boku...

– Ech... stare dzieje... Ale jak tam sobie uważasz, lordzie Hawardzie, jak uważasz... Zatem popatrzmy na wyczyny owego boskiego młodzika...

Z pozycji wojsk królestwa Saladior widać, jak jeźdźcy z głowami lwów czynią nawrót i zaczynają się wycofywać, wyciągając przeciwnika do siebie na otwarte pole. A w pewnym momencie wstrzymują rumaki, ponownie kierują się frontem ku szarżującym wojskom zakonnym i tym razem sami także atakują z pasją.

Niebawem dochodzi do gwałtownego starcia, gdzie zza rzeki widać jedynie niemiłosiernie kotłującą się ze sobą konnicę. A zaraz z obu flank wyrastają jak spod ziemi kolejne konne zastępy jeźdźców z głowami lwów, przeszło dwie setki. Okrążają oni obecnie walczących i z impetem włączają się do akcji.

Od tej chwili można odnieść wrażenie, iż brutalność starcia jeszcze narasta, wzmagą się, osiągając swe apogeum, po czym zaczyna maleć. Aż z pozycji wojsk królestwa Saladior wydaje się, że bitwa przednich formacji dwóch wrogich sobie obozów właśnie dobiega końca.

Wkrótce w kierunku rzeki podjeżdża grupa jeźdźców pół-ludzi pół-zwierząt z dwoma jeńcami, kobietą oraz mężczyzną. Zatrzymują się poza zasięgiem strzał i dokonują ostentacyjnej egzekucji, ścinając jeńcom głowy. Potem zawracają, a wraz z nimi cały zwycięski oddział półludzkich wojowników Boga Avenedora wraz z bogatymi łupami i licznymi ciałami.

– Oto i los twego boskiego młodzika... – stwierdza po dokonanej demonstracji pierwszy z lordów i rozglądając się na boki, nerwowo poprawia w siodle. A zaraz ściszym głosem dodaje: – Gdyby nie ten przeklęty honor moglibyśmy zawrócić i się nie zatrzymywać. Odjechać stąd nawet do konfederacji. A tak zaraz przyjdzie nam tu honorowo podzielić podły los, los przegranych i trupów...

Lorad Haward nic nie odpowiada, tylko patrzy posepnie na odległy, równinny horyzont w ślad za odjeżdżającymi jeźdźcami aż ci nikt żołnierzom Saladior z oczu.

*

Mężczyzna jedzie posepnie koło kobiety. Co raz łypie na nią oczyma, ta jednak nieprzerwanie z powagą spogląda tylko przed siebie. Aż w końcu

rzuca ona wzrokiem do tyłu, na długą kolumnę jeźdźców. Następnie odważemnia męskie spojrzenie i uśmiechając się znacząco, oznajmia:

– Zaiste światłość, podstęp i słuszna strategia są po twojej stronie, Avezanie. Zatem ja, wielka mistrzyni Hamri Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani, pozostaję na twe rozkazy...

*

Po znaczącym oddaleniu się od wojsk królestwa Saladior gwałtownie skręcamy na południe tuż przed nadciągającą hordą jeźdźców Avenedora. Jedziemy tak długo, aż dane jest nam się skryć w pobliskich, allearskich lasach. Tutaj obozujemy w zającającej sile niemal pięciu setek konnych. My czyli ja sam, zakonnicy oraz zakonniczki, jak również Allearzy przebrani uprzednio za lwich wojowników Avenedora.

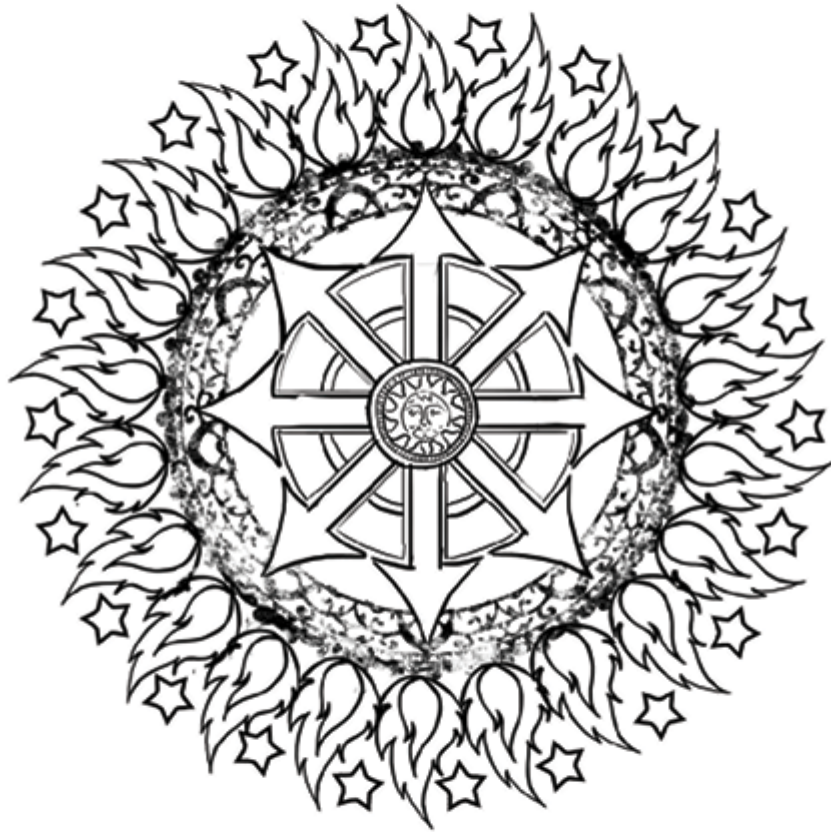
Tak, na tym właśnie polegał mój wybieg. Napisałem list do Larien, aby natychmiast przygotowała trzy setki swoich jeźdźców i wyposażyła ich w maski lwów używanych na święto Bogini Harremid. Tym sposobem nasi ciemężyciele z Saladior dali się wywieść w pole przekonani, że oglądają prawdziwe starcie. To jednak był zwykły teatr, który pozwolił nam uciec cało z teatru dramatycznych zdarzeń rozgrywających się obecnie na granicy królestwa Saladior. A jednocześnie nie daliśmy powodu królowi Rewardowi, aby zgładził on w odwecie wielkiego mistrza, Agrona. W końcu wszyscy postronni obserwatorzy sądzą, że właśnie bohaterko zostaliśmy wyrżnięci w pień, a niektórzy z nas doczekali się nawet widowiskowej egzekucji.

Natomiast już niebawem allearscy zwiadowcy przynoszą do naszego obozu druzgocące, ale ze wszech miar spodziewane wieści. Oto horda Boga Avenedora masakruje królewskie oddziały i porusza się dalej do serca władztwa prosto na jego stolicę.

To było absolutnie do przewidzenia, całkowita klęska w obliczu przytłaczającego swą siłą wroga. I bez należytego współdziałania żadne zakonne wojska, nawet wspierane przez Allearów, nie odwróciłyby losu bitwy. Dlatego wiem, że uczyniłem słusznie, wyprowadzając zakonne zastępy z pola walki. Zatem za honor poczytuję sobie właśnie to, ocalenie życia ludzi, którzy walcząc mężnie, gdzie indziej jeszcze będą się mogli naprawdę zasłużyć.

Teraz z kolei honor nakazuje mi skierować rumaka z powrotem do twierdzy Harensen. A czynię to nie sam, a z Hamri u boku. Także ze złodziejskimi instrumentami uzyskanymi od Ravela, adresata drugiego wysłanego przeze mnie listu.

Celem naszej wyprawy jest uwolnienie wielkiego mistrza Zakonu Buławy Czerwonego Lwa, Agrona. To w końcu on, własnym poświęceniem, nas uratował, więc jego samego również nie możemy zawieść i pozostawić gnijącego w lochu.



VII. ZA HONOR

Podczas drogi do twierdzy Harenson mi oraz Hamri towarzyszy nieustanna mżawka i poszarzałe niebo, a do tego niemal bezwietrzna pogoda. Przez to przemierzany krajobraz jest, jakby zamarły i przesycony smutkiem. Czy taki właśnie będzie Saladior pod panowaniem przyszłego władcy – Boga? Niestety wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że będzie gorzej, o wiele gorzej. W końcu Avenedor otacza się okrutnymi Jeźdźcami Majanu oraz pół-ludzkimi wojownikami, którzy powstałi jedynie po to, aby siać śmierć i pożogę, a zbierać chwałę dla swego pana. Zatem czy Saladior jest już stracony? Obawiam się, że tak. Ale uratujemy tu jeszcze kogoś wartościowego, taki właśnie realizujemy plan.

Docieramy do twierdzy od strony północnej. I oto jawi się przed nami głęboka fosa, a za nią niebotycznie wysoka ściana z ciemnoszarej cegły. Zaś gdzieś tam, hen wysoko w wieży, góruje tylko jedno okno. Spoglądamy po sobie wymownie z Hamri, bowiem znamy tę wnękę w murze i wiemy, dokąd prowadzi.

Przywiązujemy w cienistym zagajniku trzy ukryte rumaki, a sami, pod osłoną nocy, ruszamy pod północny mur. Przepływamy głęboką fosę, po czym będąc jeszcze w wodnej toni, zaczynamy korzystać z darów od Ravela z plecaka na moich barkach.

Początkowo jest to kotwica, którą zarzucam na wysoki, kamienny brzeg, aby wydostać się z fosy. Za trzecim razem haki znajdują twarde zaczepy i lina przytwierdzona do kotwicy odpowiednio się napręża. Wspinamy się po niej i docieramy pod ścianę twierdzy. Tutaj wspomóc nas może już tylko magia rodem z Otchłani.

Wyjmuję z plecaka cztery odpowiednio spreparowane przednie łapy gatunku olbrzymiej żaby. Zakładamy je sobie na dłonie niczym rękawiczki i za ich pomocą przysysamy się do pionowej, kamiennej ściany. W ten

sposób, wspinając się, każdorazowo uzyskujemy u góry pewny punkt zaczepienia. U dołu mozolnie poszukujemy choć minimalnych wnęk w kamiennej fakturze muru, aby znaleźć oparcie dla obuwia.

Tym sposobem przemieszczamy się wolno i mozolnie, ale nieustannie we właściwym kierunku i mniej więcej w samym środku nocy jesteśmy u celu. Czyli na wąskim parapecie okna ze sterzącym w nim pionowo prętem. I to te żelastwo musimy obecnie pokonać.

W ruch idą dwa pilniki Ravela, ponoć z zębów samego Xeratoksa. Osobiście piłuję na górze, a Hamri trzodzi się na dole. Po dłuższym czasie pręt zostaje przecięty niemal w tej samej chwili i szybuje na dół, gdzie słychać głuchy brzdęk, kiedy odbija się o kamienie. Następnie jako pierwszy przeciskam się przez okienko, a zaraz za mną towarzysząca mi kobieta.

I nagle uderza mnie znany mi aż za dobrze smród rozchodzący się w celi. Odruchowo zasłaniam usta ręką. Ale zaraz przełamuję wstręt i nie widząc z powodu mroku wielkiego mistrza, w stronę, gdzie powinien się znajdować, posyłam cicho wypowiedane słowa:

- Przybywamy, by cię uwolnić...
- Zakonnicy czerwonego lwa, bitwa? – słyszę jedynie w odpowiedzi.
- Bitwa została przegrana, lecz twoi ludzie przeżyli, wszyscy i oczekują cię...
- Ale... honor nakazuje...
- Zaufaj mi – wchodzę między słowa wielkiemu mistrzowi. – Twoi ludzie cię potrzebują. A prawdziwy honor to nie zginąć głupio w przegranej walce, tylko żyć, walcząc o zwycięstwo...
- Niech tak będzie... – oznajmia bez wyrazu Agron.

Od tego momentu, zgodnie z wcześniej ustalonym planem, zajmuję z Hamri pozycję przy drzwiach. Oczekujemy przy nich rychłego świtu, kiedy to wrota powinny zostać otwarte dla staruchy z zupą. Wtedy też wkroczymy do dalszej akcji.

Po pewnym czasie przez północne okno przeziiera nieśmiało blada jasność poranka. A już niedługo drzwi skrzypliwie się otwierają i staje w nich wspomniana, starsza kobiecina. Chwytam ją za łachmany i szarpnię do

siebie, po czym odpycham w ramiona Hamri. Sam błyskawicznie dopadam stojącego za staruchą strażnika. Przykładam mu ostrze noża do gardła i gniewnie powarkuję:

– Dawaj klucze do kajdan więźnia, już...

– Kapitan... kapitan straży... – jęczy trwoźnie na dobre zaskoczony mężczyzna, wskazując głębię ciemnego korytarza.

– Dziękuję... – chrypię w odpowiedzi i rozcinam strażnikowi gardło. Nie mam wyboru, skoro zabawimy tu jeszcze jakiś czas. Przytrzymuję dłużej mężczyznę, aż ten skona, a zza pleców słyszę pytanie Hamri:

– Co ze staruchą?

– Zostaw ją, wygląda biedaczka na niegroźną – mówię i już zaraz przemierzam z wielką mistrzynią ciemne korytarze w poszukiwaniu wspomnianego kapitana. Na rozwidleniu dróg Hamri łapie mnie za ramię i ciągnąc w swoją stronę, z odrazą oświadcza:

– Tędy. – Wskazuje właściwy kierunek. – Swego czasu miałam okazję spędzić nieco czasu w komnacie z owym... kapitanem. – Dotyka swej do niedawna okaleczonej twarzy.

Ruszmy zatem już nie na oślep. Aż naraz przed nami rozchodzą się męskie głosy rubasznie prowadzonej rozmowy. Te się przybliżają. Dlatego uzbrojony w nóż tuż za zakrętem korytarza przylegam mocno do ściany w oczekiwaniu na przeciwników. Podobnie zachowuje się towarzysząca mi kobieta, stając przy mnie. Gdy raptem z drugiej strony słyszemy jeszcze jedną, gwarną rozmowę także z coraz wyraźniej dochodzącymi nas głosami.

Spoglądamy sobie z Hamri wymownie w oczy i się przezbrajamy. Kobieta zdejmuje z pleców łuk i dobywa strzałę. Sam staję do niej plecami uzbrojony w dwa krótkie ostrza. I niemal jednocześnie po dwóch naszych stronach pojawia się w sumie sześciu przeciwników. Odpowiednio dwóch bliżej mnie, a czterech Hamri.

Osobiście atakuję błyskawicznie. Wyprowadzam skuteczne cięcie w gardło kompletnie zaskoczonemu mężczyźnie. Kolejnego, który sięga po miecz, taranuję barkiem. W efekcie leci on plecami na ścianę. Przyciskam go do niej własnym tułowiem i kilka razy uderzam kolaniem w brzuch, nie

dając mu dobyć broni, po czym obolałego odstępuję na krok i również rozcinam gardło. To najskuteczniejszy cios, aby konający nieszczęśnik nie wszczął przedagonalnym krzykiem alarmu.

Następnie odwracam się i widzę wzdłuż korytarza, w mniej więcej równych odstępach, trzy trupy z szyjami przeszytymi strzałami. Ostatni strażnik mocuje się z Hamri, uderzając ją co raz pięścią w twarz. Dopadam mężczyznę od tyłu za głowę, zakładając morderczy uchwyt i gwałtownie przekręcam, skręcając kark. Potem bez słowa przyglądam się towarzyszcze broni. Ona pochyła się nisko i wspiera dłonie na kolanach, jakby zbierając siły. Ale zaraz daje mi ręką znak, że dojdzie do siebie.

Obecnie uzbrojony w miecze poruszam się przodem, a Hamri nieco za moimi plecami z łukiem gotowym do strzału. Zewsząd co raz dochodzą nas rwane rozmowy i śmiechy, a przez to jesteśmy świadomi, że wraz z nastaniem świtu w twierdzy rozpoczyna się coraz większy ruch. Strażnicy wychodzą z mieszkalnych baraków i ruszają na patrole swoich rewirów. Zatem niewątpliwie szybko nadzieją się na dokonaną przez nas masarkę i ogłoszą w warowni alarm.

Jednak wcześniej szczęśliwie docieramy do drzwi komnaty kapitana. Tak przynajmniej się domyślam, ponieważ Hamri naraz przystaje i pokazuje mi gestami dłoni, abym ostrożnie spróbował otworzyć drewniane wrota.

Czynię to udanie i wślizgujemy się jedno po drugim do zanurzonego w półmroku pokoju. W łóżku śpi tutaj w najlepsze jakiś mężczyzna, a wielka mistrzyni daje mi do zrozumienia skinieniem głową, że to właśnie poszukiwany przez nas kapitan.

Żeby zdobyć klucze, czym prędzej biorę się za przetrząsanie ubrania mężczyzny, które leży niedbale na krześle. Wkrótce moje palce dosięgają przypiętej do paska metalowej obręczy z kluczami. Odpinam ją, gdy raptem słyszę za plecami jakieś charczenie. Robię błyskawiczny piruet i staję jak zamurowany.

Oto Hamri przygniata sobą kapitana, który ma rozrzucone szeroko ramiona i niezwykle wytrzeszczone oczy. Z kolei kobieta jedną ręką zasłania mu usta, a drugą metodycznie wykonuje szybkie, płytkie ruchy

ostrzem w brzuch nieszczęśnika, a przy tym rozkosznie, niczym w miłosnym uniesieniu, pojękuje:

– Och, ach, och, teraz też ci tak dobrze...? Tak właśnie się czułam na tym przeklętym łóżku, posmakuj tego i ty... ty ludzkie ścierwo...

Niebawem zarówno łóżko, kobieta na nim, jak i zaszlachtowany mężczyzna, wszyscy spływają obficie czerwoną krwią. Natomiast oczy kapitana bezpowrotnie się zamykają.

– Mam klucze... – szepczę do Hamri. Ona głęboko oddycha i jak zbudzona ze snu, spogląda na mnie w taki sposób, jakby była zaskoczona moją obecnością w tej komnacie. Następnie bez słowa, niczym ponownie w transie, wstaje i wychodzi na korytarz. Idę za nią, lecz zaraz chwytam ją za rękę, kiedy najwyraźniej myli ona kierunek powrotnej drogi. Wielka mistrzyni jednak mi się wyrywa i uparcie kroczy dalej.

– Hamri... – rzucam ściszone głosem w ślad za nią. – Co z tobą, musimy już wracać.

– Wracaj, ja idę po króla – pada harda odpowiedź.

– Ale...

– Za to, co mi zrobił, spotka go to samo, co kapitana.

– Przecież... – Gryzę się w język i czynię cierpiętniczy wyraz na twarzy.
– To wszystko, co mówiłaś o zakonnych ideałach, nadrzędnym celu, porzuceniu osobistych urazów i w ogóle... Co z tym...? Już się nie liczy?!
– próbuję jeszcze, lecz jest to daremne. Raptem zdaję sobie sprawę, że tę kobietę opanował święty gniew za doznane krzywdy, wypełnił jej serce na wskroś i nikt, ani nic nie zawrócą jej z obranej drogi słusznej pomsty. A skoro tak, to mi samemu pozostaje tylko jedno. Mianowicie uciekać z wielkim mistrzem, Agronem albo też pomóc Hamri w dokonaniu wendety.

Analizując tak, patrzę na oddalające się plecy kobiety osłaniane lekkim, srebrzystym pancerzem. Gdy wtem dochodzą mnie głośnie krzyki na alarm, a potem bicie w dzwony. Stąd prosty wniosek, iż zabici przez nas strażnicy zostali właśnie odnalezieni. Zatem wkrótce zaroj się tu od innych zbrojnych ludzi, a szansa na udaną ucieczkę będzie z każdą chwilą maleć. Dlatego muszę podjąć błyskawiczną decyzję i podejmuję ją. Zawracam biegiem prosto do celi. W końcu przybyłem tu po wielkiego mistrza Zakonu Buławy

Czerwonego Lwa, jestem mu coś winien. Zatem muszę go uratować, to absolutny priorytet.

Po drodze, uzbrojony w dwa krótkie miecze, na pełnym biegu wpadam na parę strażników i w krótkiej walce kładę ich obu trupem. Potem wyrywam do przodu jeszcze szybciej. Cudem nie myślę bez przewodnictwa Hamri powrotnej trasy i wpadam zziębnięty do znanej sobie celi. Tutaj stoję zszokowany.

Przy wielkim mistrzu zakutym w kajdany klęczy pozostawiona tu staruszka i z wolna szatkuje nożem martwego już zakonnika. A kiedy zdaje sobie ona sprawę z mej obecności, patrzy na mnie zamglonym wzrokiem i skrzypi:

– Za króla, za króla Saladior...

W porwywie złości zmieszanej z desperacją i bezradnością, zamaszystym ciosem miecza rozcinam przeklętej kobiecie twarz ostrzem. Czubek drugiego wprowadzam jej w brzuch i czekam, aż nadziana na miecz postać wyzionie ducha. Z tą chwilą nie pozostaje mi już nic więcej, niż tylko samotnie uciekać, albowiem podniesione larum na korytarzach twierdzy tylko narasta.

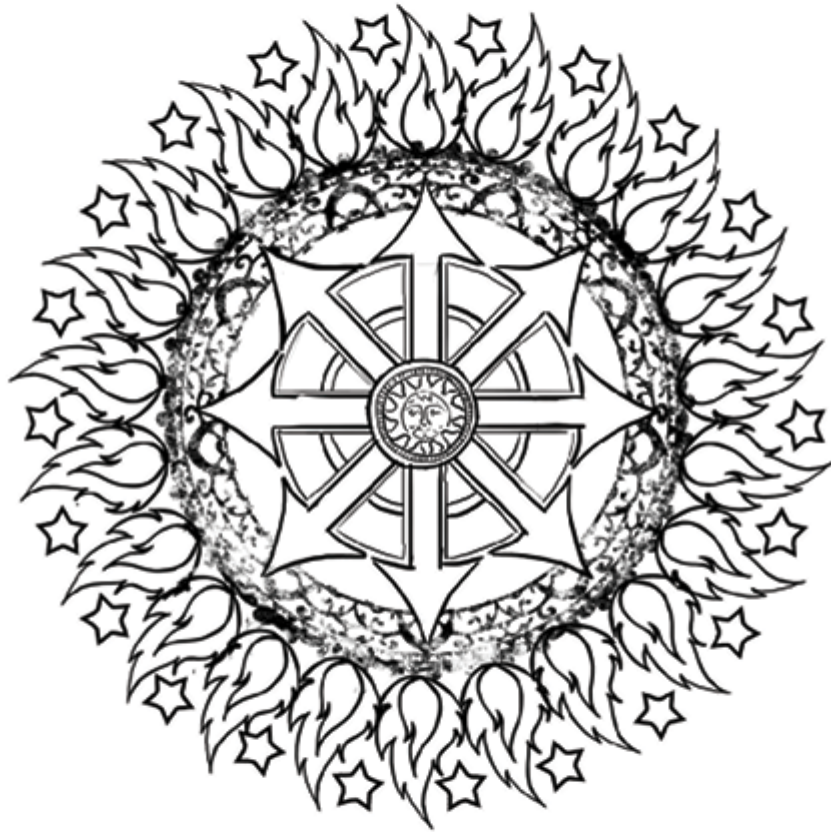
Dlatego sprawdzam dokładnie linę wyjętą uprzednio z plecaka i przywiązaną w oknie do żelaznego kikuta. A zanim precisnę się przez wąskie okno, spoglądam jeszcze na martwego wielkiego mistrza Agrona.

Ma on palce prawej ręki zamoczone we własnej krwi. Natomiast koło niego, na ścianie, jest wymalowany czerwoną cieczą nietypowy wizerunek, jakby glif. To słońce w centrum, od którego we wszystkich kierunkach odchodzą strzały. Wokół zaś znajdują się płomienie poprzedzielane gwiazdami. Zaraz jednak kończę te oględziny i ciągle wściekły z powodu kompletnego fiaska misji, jak najszybciej opuszczam się po linie.

Na dole odpinam pozostawioną tu kotwicę, skaczę do fosy i przepływam ją, po czym lokuję kotwicę z liną na przeciwległym brzegu. Wydostawszy się na skarpe, spoglądam jeszcze w okno twierdzy, ale nikogo tam nie dostrzegam. I nie mam się co łudzić, że Hamri da radę wrócić. To niemożliwe, tym razem przegraliśmy i ponieśliśmy ofiary. Takie są niestety smutne fakty.

Zatem porywam się biegiem do koni. Wybieram jednego rumaka i gnam do najbliższego, widocznego na horyzoncie lasu, aby skryć się w jego mrocznych kniejach. Podczas gdy moją duszę już od dłuższego czasu spowija mrok.

Misterny plan kompletnie bierze w łeb. A teraz, po powrocie do obozowiska Allearów, będę musiał stanąć przed zakonnikami, jak i zakonnicek, po czym wyjawić im, że ich wielcy mistrzowie nie żyją. A mimo to zakony nie mogą złożyć broni. Muszą nadal walczyć dla dobra zwykłych ludzi oraz Pendorum. Co więcej, powinny to uczynić u boku tego, który powiódł ich mistrzów do zguby, czyli u boku mnie samego, fałszywego wybrańca. Święta matko, mityczna Anreo – myślę tak, spoglądając z boleścią w poszarzałe niebo – jak niby miałbym tego dokonać?



VIII. PODZIAŁ

Wewnętrznie rozdarty przemierzam ponure obecnie ziemie królestwa Saladior. Zaś im bliżej siedzib Allearów jestem, tym częściej napotykam patrole Jeźdźców Majanu. Ale nie tylko ich samych, a również dramatyczne świadectwa ich bytności w sercu Pendorum. To spalone wioski, wiszący na drzewach ludzie, wbite na pal odcięte głowy oraz spętane kobiety pędzone niczym bydło w zwierzęcym stadzie. Dochodzą mnie także słuchy, że stolica królestwa jest już oblegana przez Avenedora, lecz obrońcy nie są liczni, ich morale upada, więc los miasta jest przesądzony. Z takimi oto wisielczymi wieściami przybywam w allearskie knieje i samotnie kieruję się do znanego mi obozu, który przez dłuższy czas był mi domem.

W końcu gdzieś w środku nocy docieram między zielone namioty i liczne szałaszy. Jednak na miejscu nieoczekiwanie wita mnie nad wyraz wiele wzniesionych ognisk i słyhać tu gorzkie, żałobne lamenty.

Zaniepokojony zeskakuję z rumaka i zmierzam do miejsca, gdzie zauważam zgromadzenie wielu osób w tym liczne, płonące pochodnie. Przedzieram się pomiędzy ludźmi stojącymi do mnie plecami. Okazuje się, że tworzą oni okazały okrąg, w którego środku, na kamiennej płycie, niczym ołtarzu, spoczywa jakaś postać w białej sukni i z krwawą plamą na brzuchu.

Niezatrzymywany podchodzę do niej i zamieram. Odkrywam bowiem, iż tą osobą, martwą osobą, jest nie kto inny jak sama Larien. Zszokowany spoglądam na klęczącą Nail, którą trzyma mocno dwóch allearskich wojowników. Przenoszę wzrok na również będącą na klęczkach z drugiej strony ciała Larien Roksin w zaawansowanej ciąży. Na tę ostatnią patrzę z bólem i pytająco. Ona ociera łzy z twarzy, po czym wskazując oskarżycielsko na Nail, gestykułuje:

– „To ona zabiła naszą panią, ta przeklęta czarnowłosa. Wróciła tu w nocy ze zwiadu. Weszła do namiotu naszej miłości i razem rozmawiały. Potem się pokłóciły o ciebie i czarnowłosa wyjęła nóż. Ona zabiła naszą panią. Widziałam to”.

Po tym przekazie patrzę zdruzgotany na Nail w nadziei, że ta zaprzeczy. Ona jednak swoim zwyczajem jedynie hardo spogląda mi w oczy i nie wykazuje żadnych emocji, nie czyni żadnego gestu, słowem niczego, co pozwoliłoby mi wątpić w gesty Roksin.

Wobec tego chwytam się z boleścią za skronie. Jednocześnie trzymający Nail Allearzy pochylają mocno jej głowę, odgarniają czarne włosy z karku, a mi samemu wręczają ciężki miecz.

Rozglądam się oszołomiony po chłodnych obliczach otaczających mnie mężczyzn i kobiet, gdzie dostrzegam też zakonników oraz zakonniczki. Ale nikt bynajmniej nie ma zamiaru odwozić mnie od wykonania słusznej kary. A nawet więcej, te postacie wydają się swym surowym wzrokiem nakazywać mi wykonanie okrutnej egzekucji i tylko tego ode mnie oczekują, jako od mitycznego wybrańca, ich odwiecznego obrońcy.

Ważę więc w rękach masywny miecz i ściskając jego rękojeść, głęboko oddycham, czekając na cud. Na coś, cokolwiek, co pozwoli mi nie zabijając Nail, osoby, którą przecież ciągle darzę niezmiennym uczuciem. Lecz jestem też świadom, że jeżeli nie uczynię mej powinności, bynajmniej nie ocale tym samym życia ciemnoskórej kobiety. Co więcej, zawiodę w oczach Allearów i tym samym zaprzepaszczę zapewne ostatnią szansę na ratowanie Pendorum.

Myślę, że i sama Nail to rozumie, musi. Dlatego spoglądając na nią, czekam, aż lekko skinie do mnie głową bądź chociaż mrugnie. Słowem da mi jakikolwiek sygnał, iż zawiniła i godzi się ze swoim smutnym losem, ze swym końcem. Lecz ona cały czas jedynie spogląda mi w oczy, zupełnie jak podczas naszego pierwszego spotkania. Zatem ja, nie wytrzymując jej spojrzenia, zamykam własne powieki. Staram się nie myśleć o niczym i unoszę wysoko miecz. Zastyga on w górze gotowy w każdej chwili opaść i zakończyć życie tak bliskiej mi istoty. Jeszcze jedna chwila, jeszcze jeden oddech, gdy naraz...

– Ładne włosy, Avezanie, urosły ci prawie, jak u matki, ha! Tylko pamiętaj, aby je rozczesywać. Anrea nigdy nie miała głowy do pielęgnacji urody i robiły jej się straszne kołtuny... – Niespodziewanie dochodzi do mnie bezczelny, znajomy, kobiecy głos. Otwieram więc oczy, choć nie opuszczam miecza, i wbijam pytający wzrok w wychodzącą z tłumu gapiów Virię. Ona trzyma się rękoma za wręcz gigantyczny, ciężowy brzuch i nonszalancko kontynuuje: – Doszły mnie właśnie słuchy, iż niejaka Nail oskarżona została o zabicie tej nocy Larien. Hm... A to bardzo ciekawe, zważywszy na fakt, że cały ten czas, kiedy to raptem nie została ode mnie siłą zabrana, wspomniana Nail spędziła ze mną w jednym namiocie! Cóż powiedzieć, Zachar zachwalał ją swego czasu, jako doskonałą niewolnicę położną, a ja... Spójrzcie tylko na mnie... Mam bliźniaki i zaraz chyba je wreszcie wydam na świat!

W odpowiedzi na ten wywód z niewysłowioną ulgą opuszczam miecz. Lecz zaraz się okazuje, że to nie koniec dramatycznych wydarzeń na allearskim placu. Oto gwałtownie, ze łzami w oczach, gestykuluje do mnie Rokisn:

– „Wszystkie czarnowłose są złe, nie powinno ich tutaj być, zabij je obie. Czarnowłosa z brzuchem kłamie”.

– Otóż nie, ona nie kłamie... – oświadczam grobowym tonem niczym z samego serca Otchłani. – Czarnowłosa z brzuchem nigdy nie kłamie... taka już jej natura... – Wskazuję mieczem na Virię.

Wobec tego wyznania Roksin zamiera, a na placu zapada martwa cisza. Następnie wszyscy obecni już domyślają się, kto tak naprawdę zabił Larien. W konsekwencji trzymający dotąd Nail Allearzy puszczają ją i chwytają bezceremonialnie Rokisn, po czym to ją przygotowują w pozycji do ścięcia głowy. I naraz słyszę z tłumu powtarzające się, rozkazujące głosy starszyny, na przemian kobiece i męskie:

- Wina jest jasna.
- Zatem i wyrok jest jasny.
- Zakończ to.
- Pomścij naszą panią.
- Jesteś wybrańcem Allearów.

- Jednym prawym i honorowym.
- Zakończ to nasz odwieczny przywódco.
- Chwała wybrańcowi.

– Otóż nie... – chrypię ponuro. Rozglądam się po otaczających mnie osobach i opierając czubek miecza o ziemię, mówię to, co resztki mego honoru każą mi powiedzieć: – Choć rzeczywiście jestem synem Zana oraz Anrei to nie ja jestem waszym wybrańcem i nigdy nim nie byłem. Prawdziwym mitycznym wybrańcem była Larien. Tym razem wasz prawowity przywódca nieoczekiwanie narodził się w ciele kobiety. I to dlatego okłamaliśmy was wszystkich razem z Larien. Po to, aby ona w moim imieniu mogła wami rządzić, co było jej przeznaczeniem...

Ponownie następuje grobowa cisza, którą obecnie, z lekka się zataczając, tradycyjnie i bezczelnie zarazem przerywa Viria:

- Ups... chyba odeszły mi wody... Za dużo emocji...

W tym momencie z tłumu wychodzi członkini allearskiej starszyny. Chwyta mnie mocno za dłoń, gdzie dzierzę miecz i z powagą oświadcza:

– Zatem teraz to ty jesteś naszym wybrańcem synu boskiej Anrei i Zana. Dlatego uczyni, co musisz uczynić, jako nasz przywódca, udowodnij, że naprawdę nim jesteś. Zabij nikkzemnicę, która z tylko sobie znanych przyczyn pozbawiła życia Larien. Zabij ją... – posykuje.

- Zabij...

- Zabij.

– Zabij! – rozlega się wszędzie na placu z coraz liczniejszymi, allaerskimi gardeł. Na co zaciskam ręce na rękojeści miecza i raptem krzyczę donośnie w przestrzeń:

– Nie mogę! Powiadam dość już zabijania! Moja własna matka dogorywa gdzieś na Wyspie Czarnego Piasku. Sam przywodzę na śmierć wielkich mistrzów Agrona oraz Hamri. I zaprawdę nie zabiję jeszcze Roksin! Nie zważając na jej oczywistą winę, ona nosi me dziecko w swym łonie! Czym zawiniło dziecko, abym je także zabił, czym?! – zdzieram gardło z rozpaczą. A zaraz gniewnie kończę: – Skoro to ja teraz jestem waszym wybrańcem, to zaklinam was. Nikt nie ma prawa podnieść ręki na

Rokisn. Nie może jej spaść nawet włos z głowy! Rozkazuję bezwzględnie wam jej przebaczyć!

Zgromadzony wokół mnie tłum mruczy złowrogo. Aż po chwilowym złagodzeniu nastroju, allearskie serca ponownie zmieniają się w kamień i z allearskich ust płyną te same, pozbawione litości słowa:

- Zabij...
- Zabij.
- Zabij!

Zdaję więc sobie sprawę, że mój rozkaz nie będzie respektowany, albowiem w powstałych okolicznościach na autorytet władcy muszę sobie dopiero zasłużyć. Dlatego spoglądam zdruzgotany na kompletnie roztrzęsioną Roksin, która desperacko obejmuje swój brzuch i zalewa się gorzkimi łzami. Zauważam skonsternowany, że brzemienna dziewczyna ma na szyi podarowany jej przeze mnie medalion w kształcie Bogini Harremid wykonany ze sztucznego złota. Równocześnie z wielkim wstydem przypominam sobie, że to ja sam, ja oraz Larien wplątaliśmy tę osobę w naszą intrygę i przywiedliśmy do zguby. To my sami zabawiliśmy się dla własnych celów jej losem. Więc tak naprawdę to ja jestem winien powstałej tragedii i to ja powinienem tu zginąć, nie Roksin. Chociaż mam świadomość, że jako zabójczyni mitycznego wybrańca, nic nie uchroni jej od śmierci z rąk pobratymców.

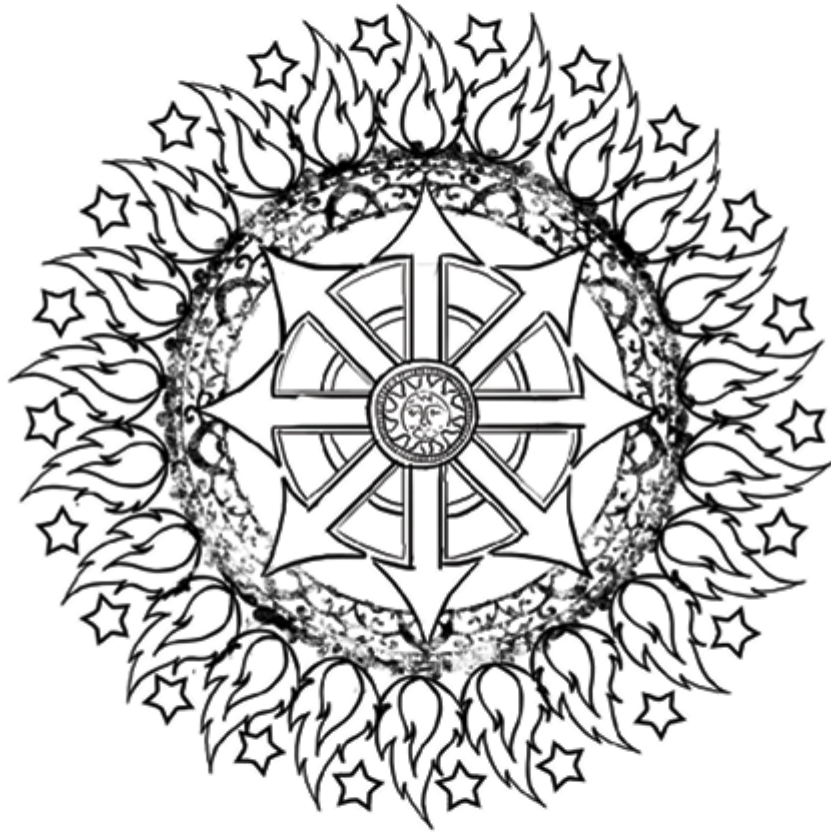
Aż raptem w przestrzeni następuje zamaszyste uderzenie miecza, a wraz z tym cięciem na ziemię spada odcięta poniżej łokcia, prawa ręka Roksin. Przerażona dziewczyna łapie się za tryskający krwią kikut. Natomiast sprawcy tego ciosu, Nail, wbija swój miecz w ziemię, po czym gwałtownie gestykułuje:

– „Rękę, która została podniesiona na Larien, spotyka zasłużona kara. Ta kończyna zgnije. Dziecko w łonie matki jest niewinne, niech więc żyje. Matka okrywa się hańbą, lecz każdy ma prawo do błędu, nawet największego, choć nie bez konsekwencji. Matka zostaje na zawsze wygnana”. – Po tym przekazie Nail zabiera jednemu z mężczyzn pochodnię i przypala ogniem kikut Roksin. Brzemienna dziewczyna wyrywa ze swej piersi potępieńczy krzyk i z bólu mdleje. Z kolei Nail staje tuż koło niej ponownie z mieczem w gotowości, dając do zrozumienia, że do czasu

wygnania będzie jej chronić. Dalej obserwuję, jak liczni allearscy wojownicy zmieniają swe miejsca. Część z nich zajmuje pozycję za plecami ciemnoskórej kobiety, ale większość za moimi. Ponadto przy mnie staje starszyzna. Lecz zakonniczki łuki i strzał srebrzystej łani otaczają Nail, podobnie ku niej krocą zakonnicy czerwonego lwa.

Tak oto wszyscy zebrani na placu dzielą się mniej więcej na dwie, równe połowy. Pomędzy nimi pozostaje samotnie Viria, która z boleścią obejmuje swoją najwyraźniej bliźniaczą ciężę i w powstałej ciszy spogląda na swe monstrialne brzuszysko, po czym żałośnie jęczy:

– Skoczyliście zabawę...? To świetnie. Zatem teraz czas na mnie... Ja rodzę!



Spis treści

I. WYBRANIEC

II. POLOWANIE

III. ŚWIĘTO BOGINI HARREMID

IV. GOŚCIE

V. W TAWERNIE

V. TWIERDZA

VI. BITWA

VII. ZA HONOR

VIII. PODZIAŁ